MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 20 WARSZAWA, 10 MAJA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

8 MILJARDÓW SZEŚCIENNYCH CENTYMETRÓW

Zaprzątałem już kiedyś uwagę czytelników występującem u nas nagminnie zjawiskiem lekceważenia liczby i miary. Powracam do niego teraz, boć przecież jesteśmy pismem poświęconem kulturze twórczości polskiej, a jawne w naszej umysłowości upośledzenie kwantytatywnego ujmowania zjawisk jest ważnym, na jakość tej twórczości wpływającym czynnikiem. Przykładów tej naszej właściwości nie brak, a jako ilustrację do tego co piszę wybrałem jeden dość charakterystyczny i zabawny.

Niedawno w jednym z poważniejszych dzienników, znanym z tego iż prowadzi u siebie korektę staranniej, niż inne, czytałem artykuł o planach nawodniania Sudanu i o roli słynnego dziś abisyńskiego jeziora Tsana (czy może poprostu Cana). Artykuł był podznaczony literami, widocznie autor cenił go sobie więcej, niż zwykłą wzmiankę, i zawierał wiele liczb, a wśród nich stwierdzenie, że do nawodnienia półtora miljona hektarów przyszłych plantacyj bawełnianych potrzeba będzie „8 miljardów centymetrów sześciennych wody”. Wiem, że w produkcji każdego artykułu bierze udział kilku ludzi: autor, zecer, korektor, rewizor. Nie wiem oczywiście komu należy ten niezwykle piękny rezultat przypisać, jest jednak faktem, że osób tych nie zastanowiła niezwykłość tego wyliczenia. Każdy posiadacz maleńkiej działki ogródkowej liczy swoje zapotrzebowanie wody przynajmniej na konewki, a tu nawodnienie półtora miljona hektarów obliczono nawet nie na naparstki, bo przecież centymetr sześcienny to dopiero pół średniego naparstka. I nikogo to jakoś nie uderzyło, nikomu też na myśl nie przyszło zastanowić się nad tem czy to będzie dużo, czy mało i czy czasem te miljardy półnaparstków nie będą ową przysłowiową kroplą w morzu potrzeb.

Sprawa oczywiście błaha, nabiera jednak znaczenia przez to, że występuje u nas niezmiernie często. Od wielu lat czytam dużo dzienników zagranicznych i muszę stwierdzić, że w prasie codziennej niemieckiej, francuskiej, angielskiej, a nawet przedwojennej rosyjskiej nigdy nie spotykało się takich błędnych, kłócących się z sobą, absurdalnych liczb, jak w prasie polskiej, mimo że przecież tamte dzienniki pracują z niemniejszym pośpiechem i pisane są i redagowane też nie przez magistrów matematyki. Widocznie przyczyna leży gdzieś głębiej w psychice, skoro zjawisko to uporczywie trwa, przynajmniej od czasu kiedy uświadomił nam je przed kilkudziesięciu laty Prus, zwątpiwszy o możliwości w Polsce nietylko wynalezienia, ale nawet wydrukowania logarytmów. Sukcesy polskiej szkoły matematycznej ostatnich lat każą może mniej sceptycznie zapatrywać się na wynalezienie, ale wydrukowanie pozostaje nadal wysoce problematyczne.

Używamy naturalnie jak wszyscy określeń takich jak: ogromnie, kolosalnie, olbrzymio, wiele, dużo, ale nie łączy się z tem jakieś ściślejsze poczucie ilości, można bezkarnie powiedzieć i napisać zarówno 10, jak 100 i nikt na to nie zwróci uwagi. Świat żyje od wielu dziesiątków lat pod hasłem przewagi ilościowego ujmowania i oceniania zjawisk, mamy przecież nawet zasadę, że jakieś zjawisko można uważać za naukowo ustalone dopiero wtedy, gdy znalazło się matematyczne równanie na jego przebieg, nas się to jednak jakoś nie ima. A chociaż w zasadzie przewaga jakości nad ilością jest słuszna, to jednak nie zawsze są one od siebie niezależne i lekceważenie strony ilościowej na dobre wyjść nie może.

Niedawno przeczytałem ponownie książkę W. Sombarta pt. „*Der Bourgeois*”, traktującą o narodzinach ducha kapitalistycznego, który zmienił

gospodarkę prowadzoną dla zaspokojenia potrzeb na system gospodarczy mający na celu zysk i wytworzył nowoczesną „pogoń za dolarem”. Rzecz jasna, iż zdolności i skłonności rachunkowe, tendencja kwantytatywna jest ważnym przy powstawaniu i kształtowaniu się takiego ducha czynnikiem. Sombart na podstawie badań historycznych stwierdza wielką w tem rolę rasy i dzieli narody na kilka kategoryj; są więc narody-handlarze, jak Etruskowie, z których wywiedli się pierwsi kupcy średniowiecza, mieszczanie Florencji; Fryzowie, którzy jako Szkoci z nizin wsławili się tem, że dosłownie, za określoną sumę, sprzedali nawet swego króla (jedyny fakt w historji); są więc żydzi, wynalazcy giełdy, tej korony kwantytatywnego ujmowania spraw. Są również narody w których kupiectwo łączy się z awanturniczością i podbojami z bohaterskim odcieniem i tu można zaliczyć wielu odkrywców angielskich, kupców weneckich (nie Shylocków) i genueńskich. Są wreszcie Celtowie, którzy czy to jako górale szkoccy, czy Irlandczycy, czy też ciążąca ku biurokracji część ludności francuskiej, okazali się zupełnie niezdolni do kapitalizmu, a tą samą cechą odznacza się hiszpańska mieszanina rasowa, wśród której nawet złoto i srebro Nowego Świata nie zdołało wytworzyć gospodarki kapitalistycznej i której przedstawicielem po wszystkie czasy pozostanie ostatni błędny rycerz, osobistość pozbawiona cienia chęci zysku, kochany Don Kiszot.

Badacz niemiecki nie mówi nic o Słowianach, ale sami możemy sobie niejedno dopowiedzieć. Brak rachunkowości cechował gospodarkę wszystkich narodów w okresie przedkapitalistycznym, nie była to właściwość specjalnie nasza, ale gdzieindziej jakoś sprawniej wyrastała rachunkowa generacja, podczas gdy u nas idzie to niesłychanie opornie. Częściowo jest to zapewne skutek jeszcze dawnego, szlacheckiego nastawienia naszej inteligencji, trzymającej się wzorów przedkapitalistycznego „dworu” i to pewno się zatrze, pozostanie jednak chyba jakaś część rasowa, z którą planowanie gospodarcze będzie się musiało liczyć, jeżeli nie chce mnożyć na naszych ziemiach słynnych już dziś „nowych ruin”, które przecież też bez przyczyny nie wyrosły.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

MASONERJA I KOMUNIZM WE WSPÓŁPRACY

MNOŻĄ się dowody współpracy dwu największych wrogów religji i nacjonalizmu zarazem. Jednym z ostatnich przykładów ich współdziałania jest „Międzynarodowa Konferencja w sprawie pokoju”, odbyta 29 lut. i 1 marca r. b. w Brukseli i zapowiedziany na 31 sierpnia do 3 września r. b. Światowy Kongres Młodzieży w Genewie. Wszystko pod auspicjami i w dużym stopniu za pieniądze Ligi Narodów, a więc i nasze.

Chodzi ni mniej ni więcej tylko o zrewolucjonizowanie młodzieży, o zbuntowanie jej przeciw własnym społeczeństwom. Środki dobrano pasorzytujące na idealizmie młodzieży: rzuca się hasło walki o pokój, hasło wspólnego frontu młodzieży całego świata bez różnicy rasy, wyznania, narodowości, stanu, łącząc młodzież akademicką, robotniczą, rzemieślniczą we wspólnych szeregach. I nie można powiedzieć, że już pewnych rezultatów nie osiągnięto.

Na Konferencji w Brukseli było 300 przedstawicieli i 61 obserwatorów z 29 organizacyj międzynarodowych oraz 248 organizacyj krajowych. Organizacje te reprezentowały rzekomo 12 miljonów młodzieży.

Nastrój był „wspaniały” mimo różnic w poglądach na świat, wyznaniowych, politycznych i mimo że spodziewano się dużych rozbieżności, wszystkie rezolucje zapadły — podobno — j e d n o m y ś l n i e.

Konferencja stwierdziła jasno i ostro, gdzie są trzy główne ogniska wojny: faszystowskie Włochy, militarystyczna Japonja i hitlerowskie Niemcy (przymiotniki są tu istotne, a służą zarazem jako zawołania propagandowe, w myśl metod komunistycznych).

Konferencja uchwaliła środki przeciw militaryzowaniu młodzieży, przeciw podburzaniu do wojny i propagandzie wojny, przeciw nienawiści rasowej i szowinizmowi.

Konferencja zażądała ogólnego rozbrojenia, a do czasu jego przeprowadzenia — upaństwowienia przemysłu wojennego oraz kontroli handlu bronią.

Konferencja nie zadowoliła się wystawieniem tych żądań, ale wezwała samą młodzież do działania (Jugend, handele, handele! (*sic!*) tak też właśnie wołają „handełesi” lwowscy)[1].

Ale czy te wyniki Konferencji zawierają coś tak oburzającego i szkodliwego? Czy to nie majaki strwożonego serca „endeckiego“ nas prześladują? Zaraz zobaczymy, ale musimy, niestety, bliżej zaznajomić się z niektóremi przynajmniej uchwałami Konferencji.

Na pierwszem miejscu, z całym ceremonjałem wyliczania ilości reprezentowanych organizacyj, potępia się ostro Włochy, żąda bezwzględnych sankcyj. „Równocześnie zapewnia się zgnębiony lud włoski o swem głębokiem współczuciu“. Przedtem już zresztą Biuro Ruchu Pokoju, Wolności i Postępu oraz Organizacji Światowego Zjazdu Młodzieży powzięło jeszcze ciekawszą uchwałę: Ma być zorganizowana „delegacja, łącznie z młodzieżą abisyńską i w ł o s k ą, do Ligi Narodów; delegacja ta wobec prezydenta Rady Ligi, w imieniu młodzieży zaprotestuje przeciw wojennej napaści faszystowskiej Italji i wystąpi o zapewnienie pokoju światowego oraz za zastosowaniem paktu Ligi przeciw napastnikowi” (włoska młodzież ma żądać wykonania sankcyj przeciw Włochom, czy tak potworna myśl zrodziła się już kiedy w mózgu ludzkim?)

Pozostawienie przeprowadzenia sankcyj wyłącznie rządom Konferencja uważa za niewystar-

---

[1]) *„Courrier Universel de la Jeunesse”*, 1, Cité Paradis, Paris X, Nr 6, marzec 1936, wychodzi w trzech językach, mamy pod ręką wydanie niemieckie: *„Welt Jugend Kurier, Informationsbulletin der Bewegung für Frieden Freiheit, und Fortschritt”*.

czające, wzywa narody i organizacje „pokojowe" wszystkich krajów do czuwania nad stosowaniem sankcyj i nad tem, aby one nie były wykorzystane do celów imperjalistycznych. (To znowu potrzebne jako motyw propagandowy przeciwstawiający młodzież rządom i społeczeństwom),

Przeciw Japonji zajęto stanowisko identyczne.

Konferencja wzywa młodzież wszystkich krajów do organizowania się. Obszerna odezwa zaczyna się od słów: „My, upełnomocnieni przedstawiciele generacji powojennej z 23 krajów", a zawiera 6 zaleceń:

1) Bezwzględna walka przeciw wszelkiemu wysławianiu wojny i militaryzmu, szkalowaniu ras i narodów. Młodzież—wspólnie z dorosłymi tych samych poglądów—ma bacznie czuwać nad wszelkiemi rodzajami publicznego wychowania i wpływów (szkoła, literatura, prasa, teatr, kino, radjo) i przeciwstawiać się zdecydowanie wszelkiemu duchowi wojny i nienawiści. 2) Rozbrojenie. 3) Agitacja za pokojem (rezolucje, petycje do parlamentów i rządów, spotkania na granicach: (przypomina się wojenne „bratanie na frontach"). 4) Żądanie odstraszających zarządzeń przeciw łamiącemu pokój, czuwanie nad ich przeprowadzaniem i „czynienie ich coraz bardziej i bardziej swoją akcją". „Jakkolwiek młodzież nie pozostawia sprawy zapewnienia pokoju samym mężom stanu, to jednak zapewnia Ligę Narodów" o poparciu. 5) Pozyskiwanie osób wpływowych. 6) Zalecenie organizowania konferencyj krajowych i udziału w międzynarodowej.

„Bez nas wojna jest niemożliwa... Młodzieży tych krajów, w których jest ona wychowywana w duchu militaryzmu i wysławiania wojny, przesyłamy nasze braterskie pozdrowienia, przekonani, że w naszej walce przeciw wojnie i duchowi wojny reprezentujemy także jej najistotniejsze interesy. Wzywamy ją do współpracy i prosimy, aby w interesie pokoju przyjęła nasze wezwanie". „Precz z wszelkiemi różnicami, śmierć, którą wojna nad nami wszystkimi zawiesza, czyni nas wszystkich równymi". Biedna młodzież, dla której nie byłoby nic droższego nad życie!

„Konferencja potępia jaknajbardziej zdecydowanie wszelkie prześladowania z powodu przekonań religijnych lub politycznych, w szczególności prześladowanie katolików, żydów, protestantów, socjalistów, komunistów i pacyfistów w Niemczech" (a Sowiety, Meksyk, Hiszpanja?).

„Konferencja potępia zarządzenia represyjne ze strony rządów krajów bałkańskich przeciw młodzieży, a w szczególności młodzieży uniwersyteckiej, walczącej o ideję pokoju i wolności sumienia". (Czy Bułgarzy, Serbowie i t. d., uczestniczący w Konferencji rozumieli, co czynią, głosując za taką rezolucją?)

„Konferencja potępia ruch antysemicki wszelkiego rodzaju i wszelką formę podburzania do nienawiści rasowej, potępia wreszcie wszelkie próby rządów i władz im podległych, w najrozmaitszycd krajach świata, zdążające do ograniczania praw młodzieży w jej walce o pokój i wolność".

Szczególnie ostry ton zastosowali masoni, bolszewicy i otumanieni przez nich naiwni w odpowiedzi Mussoliniemu na jego zwrócenie się do młodzieży. Ale charakterystyczne jest znów zwracanie się do młodzieży włoskiej ponad głową jej rządu: „Młodzieży włoskiej, która nie pragnęła przygody afrykańskiej, która zaczyna coraz więcej rozumieć, że sprawa, dla której ją się poświęca, nie jest jej sprawą — młodzieży Italji przesyłamy nasze braterskie pozdrowienie. Jesteśmy pełni nadziei, że połączy się ona wkrótce z młodzieżą całego świata, aby działać na rzecz pokoju i postępu".

Konferencja zaleca też m. in. propagandę plebiscytów za pokojem, propagandę przeciw wojnie, w szczególności w organizacjach sportowych (można powiedzieć i skautowych, tu się już coś robi w tym względzie).

Z licznych głosów pozdrowień, nadesłanych na Konferencję, wrażeń z niej, wypowiedzeń się jej organizatorów warto przytoczyć tu kilka dla scharakterazowania atmosfery i tendencyj.

Pastor P. C. Toureille jest zachwycony, że „nie widziano już małostkowych granic, które dzielą nas pod względem narodowym, społecznym, politycznym, filozoficznym i religijnym. Oto cud wiary w pokój". Paul Pauchet, sekretarz „Belgijskiej Młodzieży Katolickiej" znacznie zimniej się odzywa, ale i on wierzy w pożyteczność następnych zjazdów, choć dość tragicznie troszczy się o definicję wspólną pokoju! Nie wiemy co to pokój![2])

Kapitalne jest odezwanie się p. Krasnowa, przedstawiciela młodzieży sowieckiej, „który był uprzejmy" przypomnieć, że już w Paryżu w r. 1933 i w r. 1935, w Kongresach przeciw wojnie i faszyzmowi uczestniczyli delegaci tej młodzieży. Jego znów boli specjalnie militaryzm japoński i innych krajów kapitalistycznych. Naturalnie o militaryźmie sowieckim milczy. „Związek Sowiecki pozdrawia wielki ruch, który powstał w Brukseli, i który z pewnością przyczyni się do zbliżenia młodzieży sowieckiej z młodzieżą innych krajów". Oczywiście, o to właśnie chodzi! „My jesteśmy pierwszą młodzieżą, która zdobyła sobie socjalistyczną ojczyznę. Nasze życie stało się szczęśliwe i codzień jest szczęśliwsze".

Niejaki Glatt, w imieniu żydowskiego związku studentów Belgji, międzynarodowego związku żydowskiej młodzieży socjalistycznej i organizacji sportowej żydowskich robotników Belgji wyraził wprawdzie uznanie dla dorobku Konferencji w zakresie zwalczania wojny, ale „ma wrażenie, że dyskusję nad zagadnieniami antysemityzmu Konferencja uważała za nieco zbyt odległą od swych zadań, dla nas natomiast zagadnienie żydowskie i walka przeciw antysemityzmowi oraz nienawiści rasowej jest istotnym terenem walki przeciw wojnie". Egoizm żydowski nie wytrzymał i musiał się zaznaczyć nawet w tej ultrainternacjonalnej atmosferze!

A oto jeszcze jedna złota myśl: „W godzinie niebezpieczeństwa nie zastanawia się długo nad wyborem towarzyszów broni. Łączyć się na podstawie duchowych lub uczuciowych wspólności, wolno tylko w spokojniejszych czasach... Nie wol-

[2]) A inna rzecz, że nie wiemy, co to wojna: przecież z żydami jesteśmy w wojnie i zdanie sobie z tego sprawy znakomicie upraszcza wiele zagadnień. Przypomnijmy sobie choćby z okresu „potopu" czy powstań, czy obrony Lwowa, że do istoty akcji przeciw napastnikowi nie było potrzeba ścisłej koordynacji oficjalnie odpowiedzialnych czynników, wystarczyło, że naród chciał bronić swych praw.

no myśleć, że młodzież nie będzie miała odwagi i woli powiedzieć: Nie, my nie pójdziemy na wojnę". (Pan Tuwim rżnie karabinem o bruk).

Kto organizował tę Konferencję? Biuro organizacyjne Światowego Związku Młodzieży dla spraw pokoju, wolności i postępu, Międzynarodowy Komitet Pacyfistyczny Młodzieży, Światowa Liga Młodzieży, Światowy Ruch Studencki pokoju, wolności i kultury, Sekretarjat Młodzieży Międzynarodówki przeciwko służbie wojskowej.

Kto posłał na nią delegatów? Międzynarodowy Związek Przyjaciół Związku Sowieckiego, Międzynarodowe Tow. Prawników, Związek Przyjacielski współpracy młodych nauczycieli, Międzynarodowy Komitet przeciw wojnie i faszyzmowi, Związek Studentów Socjalistów, Związek Akademicki popierania zasad Ligi Narodów, Międzynarodowy Zw. Pojednania, Czerwona Międzynarodówka Robotnicza (Młodzież), Międzynarodowa Liga przeciw antysemityzmowi, Sekcja Młodzieży Światowego Komitetu Kobiet przeciw wojnie i faszyzmowi, *„Union Mondiale pour la concorde internationale"*. Ponadto — i tych najwięcej — różne organizacje krajowe. Z Polski nie było nikogo, ale posłano depeszę (kto?)

Wśród obserwatorów byli przedstawiciele YMCA, YWCA, Międz. Biura rewolucyjnych organizacyj młodzieży, Międz. Związku Związków Sportowych Robotniczych i Chłopskich, Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży, Międzynar. Zw. Wolnomyślicieli i in.

Wśród nadesłanych listów: Romain Rolland wzywa młodych i starych do walki przeciw reakcji, Kibbo Kift (pseudoskautowa organizacja o tendencjach pogańskich) domaga się rozdziału „dywidendy narodowej", ktoś deklamuje, że „niema nic ponad pokój", a i Sokół czeski, jak wiadomo masoński, wtrąca swoje trzygrosze, życząc powodzenia.

To, że się tu zaplątał jeden czy drugi katolik, że byli przedstawiciele organizacyj katolickich belgijskich—możnaby wytłumaczyć suggestją modnych haseł i dobrodusznością zbałamuconych. Wiemy jednak, że na katolickie organizacje młodzieży w Belgji zaczynają wpływać ideje komunistyczne (jak u nas od b. członków „Odrodzenia" do „Poprostu", zamkniętego przez władze). To też z przykrością czytamy, że w Brukseli odbyło się już duże zebranie w celu utworzenia Związku Młodzieży, mającego realizować uchwały Konferencji, a w tem zebraniu uczestniczyli przedstawiciele Akcji Katolickiej Młodzieży Belgijskiej i paru jeszcze organizacyj katolickich, obok delegatów Młodzieży Komunistycznej, Czerwonego Koła Studentów i innych podejrzanych o komunizm lub wyraźnie masońskich organizacyj.

Akcja rozszerza się i pogłębia.

W jakiem dziwnem braterstwie stają ramię przy ramieniu masońskie metody tworzenia i wysyłania do walki szeregu najrozmaitszych organizacyj pod szumnie brzmiącemi nazwami, z bolszewickiemi metodami propagandy!

Jakież dziwne towarzystwo nazywa organ tej akcji swymi przyjaciółmi: Lord Cecil, A. Citrine (socjalista angielski), M. Litwinow, A. Sarraut!

Usiłuje się wygrać młodą generację przeciw reszcie społeczeństwa, rozbić narody, wzywa się młodzież do zdrady stanu i wprost tę zdradę organizuje (delegacja Włochów do Ligi Narodów), a wszystko z cynizmem, jak ów Krasnow, zachwalający szczęście bolszewickie.

Szczęściem polska młodzież na te hasła nabrać się nie da.

M. D.

NIEZNANE LISTY NAPOLEONA

NA ŁAMACH jednego z ostatnich numerów dziennika budapeszteńskiego *„Pesti Hirlap"* znakomity pisarz węgierski, Zsolt Harsányi, podał bądź w całości, bądź w urywkach najbardziej znamienne teksty spośród trzydziestu sześciu nieznanych dotychczas listów Napoleona, które rzucają nowe i ciekawe światło zarówno na postać wielkiego cesarza, jak najbliższych mu osób.

Było zaś tak. Wspomniany ów pisarz gościł niedawno na zamku księcia Jerzego Festeticsa, w miejscowości Keszthely, na Węgrzech. Książe, który jako pan domu, jest wzorem *grand seigneur*'a, poznawszy jego zamiłowanie w starych pismach, wręczył mu klucze do szafy, w której przechowuje dawną korespondencję prywatną i inne, stare pisma rodzinne. W tem właśnie archiwum rodzinnem, wśród wielu innych ogromnie interesujących pism i dokumentów, znalazł wzmiankowany pisarz trzydzieści sześć listów Napoleona, stanowiących nieznaną dotychczas prywatną korespondencję „małego kaprala".

Jakkolwiek książę Festetics nie lubi ogłaszać drukiem listów prywatnych, mimo to, o ile chodzi o badania historyczne, chętnie śpieszy zawsze z wydatną pomocą, to też i w tym wypadku, ulegając zresztą prośbom bawiącego u niego pisarza, pozwolił zaznajomić szeroki ogół z wyjątkowo interesującą wiązanką listów.

Nim jednak omówimy same listy, musimy zdać sobie sprawę z tego, jakie węzły łączyły Napoleona z węgierskim rodem Festetics'ów?

Otóż jest rzeczą powszechnie znaną, że Napoleon, będąc jeszcze generałem, pojął za żonę Józefinę de la Pagerie Tascher, wdowę po wicehrabim Beauharnais, straconym podczas szalejącego terroru. Józefina z pierwszego małżeństwa miała dwoje dzieci: Hortensję, (która poślubiła Ludwika Bonaparte i została później matką Napoleona III), następnie zaś Eugenjusza, którego pięcioro dzieci połączyło się węzłami małżeńskiemi z różnymi członkami dynastyj europejskich. Ponadto Józefina miała młodą krewną, Stefanję Beauharnais, którą kochała niemal jak własne dziecko. Tę kuzynkę Napoleon również bardzo polubił i adoptował. Wśród pism, znajdujących się w archiwum rodzinnem Festetics'ów w Keszthely, jest także odpis urzędowego dokumentu adoptacji, dokumentu, który został wystawiony dnia 2 marca 1806 roku. Z niego to można się dowiedzieć interesującego szczegółu, że adoptowana córka przyjmuje imię chrzestne cesarza, lecz nie przybiera

jego nazwiska, odtąd więc nazywa się: Napoleon Stefanja Beauharnais. Adoptacja oczywiście uświęciła urzędowo stan, który już oddawna istniał w rodzinie, gdyż jeszcze trzy miesiące przedtem Napoleon już „córką” nazywa Stefanję w jednym ze swoich listów.

Sam cesarz również wydał za mąż swoją ulubienicę. W wyborze męża kierował się oczywiście względami politycznemi. W skład jego polityki zagranicznej wchodziło, jako bardzo ważny element, elektorstwo badeńskie, z którego Napoleon stworzył wielkie księstwo. Najstarszy syn podeszłego wielkiego księcia badeńskiego, Karola Fryderyka, wówczas już nie żył; tytuł następcy tronu nosił jego wnuk, książę Karol Ludwik. Dla Napoleona było sprawą niezmiernej doniosłości rozerwać jedność małych państw niemieckich, a sprzymierzoną Badenję związać mocniej z sobą przez zadzierzgnięcie węzłów rodzinnych. Wskutek tego adoptowaną swą córkę, Stefanję, dał za żonę dwudziestoletniemu następcy tronu badeńskiego. Z małżeństwa tego przyszła na świat księżniczka Marja, którą poślubił książę Hamilton, córka zaś jego wyszła za mąż najpierw za księcia Monaco, potem natomiast została żoną księcia (wówczas jeszcze hrabiego) Taszilo Festetics'a i matką obecnego księcia Jerzego Festetics'a. Tak tedy — według krwi wprawdzie nie, ale prawnie— Napoleon był dziadkiem babki księcia Jerzego, innemi słowy książę Jerzy jest praprawnukiem Napoleona. Listy, które niedawno znaleziono w Keszthely, Napoleon pisał do prababki księcia Jerzego, a rodzina przechowała je troskliwie aż do dnia dzisiejszego.

Pierwszy list jest datowany dnia 12 stycznia 1806 roku, ostatni z Paryża 29 grudnia 1812 roku. Spośród trzydziestu sześciu listów adresatką dwudziestu dziewięciu jest księżna Stefanja, pozostałych zaś siedmiu — badeński następca tronu, późniejszy wielki książę. Tekst pierwszego listu w tłumaczeniu polskiem brzmi tak:

„Córko, otrzymałem Twój list. Uwzględnię prośby. Będę się cieszył, o ile mogę służyć pomocą krewnym. Karol trochę niedomaga, leży w łóżku. Dzisiaj Go odwiedziłem. Gorączkuje. Prawdopodobnie choroba Jego potrwa dwa - trzy tygodnie. Kochający Cię bardzo ojciec, Napoleon”.

Następca tronu, Karol, jak wynika z listu, przebywał zatem w głównej kwaterze cesarskiej, kiedy Napoleon toczył wojnę ze Związkiem Reńskim i zadawał mu dotkliwe klęski. Po odniesionych zwycięstwach cesarz powrócił do Saint Cloud, badeński zaś następca tronu do Karlsruhe, do swej młodej małżonki.

Życie Stefanji nie było jednak usłane różami na dworze badeńskim. Teściowa jej, Amalja, wdowa po poprzednim następcy tronu, nosząca tytuł „margrabiny badeńskiej”, od początku przyjęła ją zimno. Rodzina ta bowiem tylko z konieczności politycznej trwała przy Napoleonie. Francuzów nie lubiano bardzo na tym dworze. Nie była też nazbyt popularna żona następcy tronu, sprowadzona z ziemi francuskiej. Natychmiast uwikłano ją w misterną a gęstą sieć intryg dworskich. Wiedział o tem dobrze Napoleon. Z drugiego listu, który nosi datę 8 lipca 1806 roku, następujące zdanie zasługuje na cytat:

„Posyłam tu jeden list margrabiny, który przez pomyłkę został otwarty”.

Czytając to zdanie, mimowoli uśmiech wybiega na usta. Kto bowiem uwierzy temu genjalnemu, lecz w obejściu tak grubjańskiemu absolutyście, że przez pomyłkę list otworzył?

Bardzo interesujący jest urywek następnego listu, datowanego 13 lipca 1806 roku, w Saint-Cloud:

„Postępuj dobrze z twym ludem, gdyż panujący są tylko poto, by uszczęśliwiać swe ludy. Zastosuj się do kraju i uznaj wszystko za dobre, gdyż niema bardziej nieznośnej rzeczy, jak mówić wciąż o Paryżu i o takiej wielkości, której inni również nie mogą osiągnąć”.

Rady cesarza niewiele pomogły, gdyż Stefanja postępowała jak zawsze, intrygi zaś przeciw niej przybierały coraz bardziej na sile. Młoda kobieta miała wiele powodów do skarżenia się ojcu, który wkońcu postanowił rozciąć ten węzeł gordyjski. Napisał więc nie do Stefanji, lecz wprost do następcy tronu. Jeden urywek listu brzmiał tak:

„Widzę, że dzieje się wiele małych intryg. Margrabina napisała rzeczywiście do księżnej, a list ten dostał się do Reitzensteina, który uznał za dobre go zniszczyć. Powiedział o tem Dalberg Talleyrandowi. Jeśli to prawda, wówczas trzeba stwierdzić, że to wstrętna i ohydna rzecz, i że ci, którzy pozwalają sobie na taki brak wychowania, zasługują bardzo na karę. A nawet o ile sądzą, że mają prawo wtrącać się w sprawy prywatne, to jednak szacunek należny władcom powinien dla nich uczynić świętem to wszystko, co pochodzi od panujących. Skoro margrabina przyjedzie, trzeba będzie ukarać tych, którzy o tem zapominają. Zaledwie mogłem uwierzyć, że takie łajdactwa spotykają się z aprobatą damy książęcego rodu, która cieszy się zasłużonym szacunkiem”.

Interwencja Napoleona zaprowadziła na pewien czas porządek. Młodzi małżonkowie pogodzili się i oczekiwali potomstwa. Wieść o tem przejęła cesarza wielką radością. Zresztą inne troski zasępiały mu czoło. Anglja, mimo klęsk poniesionych przez Związek Reński, nie dała za wygraną i zmuszała Napoleona do podjęcia nowej kampanji. Nastąpiły Jena i Auerstedt. Z tej wyprawy pochodzi list cesarza do następcy tronu, pisany z Moguncji 28 września.

„Pragnąłbym”—pisze w nim—„byś mi przysłał wskazówki dotyczące drogi prowadzącej z Mannheimu przez Neckereltz do Würzburga”.

Następca tronu chciał brać udział w zwycięstwach teścia. Mówi o tem list Napoleona pisany 30 września:

„Synu, otrzymałem list Twój datowany 27-go. Pochwalam Twe chęci wyruszenia na wojnę. Z radością będę Cię widział przy sobie. 4-go lub 5-go października możesz wyjechać do Bamberga i wysłać tam swoje konie. Jeśli natychmiast odkomenderujesz tam regiment z kilkuset jazdy i kilku armatami, to będzie bardzo dobrze. Piechotę zresztą zostawię gdzieś koło Bamberga tak długo, aż się nie połączy z nią Twoje wojsko. Sądzę, że na to wszystko posiadasz zgodę wielkiego księcia. O ile można, przyśpiesz wymarsz żołnierzy”.

Równocześnie tak pisał do Stefanji:

„Co Ci powiedziano, to jest prawdą: wyasygnowałem Ci sześćset tysięcy franków rocznie, pani zaś Walsh pensję damy pałacowej. Następca tronu pragnie wziąć udział w wyprawie wojennej. Cieszę się, widząc dobre zamiary. Cesarzowa znaj-

duje się w Moguncji. Tam ujrzy Cię zawsze z radością".

*

Następca tronu albo został ranny albo jakąś chorobą dotknięty w tej wyprawie. W następnym liście Napoleona, datowanym już z Warszawy pod dniem 17-tym stycznia 1807 roku, można czytać:

„W stanie zdrowia Twego męża nastąpiła znaczna poprawa na lepsze, lecz był bardzo niebezpiecznie chory".

Stefanja pozostawała sama na dworze badeńskim, zdana wyłącznie na łaskę teściowej, bez, zresztą i tak nikłej, pomocy swego męża. To też z nową siłą powstały przeciw niej intrygi. Wybitną rolę odegrała w nich wspomniana już w jednym z poprzednich listów Madame Walsh. Napoleon nawet w czasie bitwy pod Iławą i Friedlandem miał czas zajmować się wewnętrznemi niesnaskami i plotkami dworu badeńskiego. W liście datowanym 28 marca 1807 r. z Ostersolde pisze do Stefanji:

„Lecz o damie dworu już każdy coraz mniej dobrze się wyraża. Wybrała ją cesarzowa, cesarzowa zaś jest tak dobroduszna, że każdego sądzi podług siebie. Życzę sobie, byś damie dworu nie powierzała żadnej tajemnicy, nie pokazywała żadnego listu i zachowywała względem niej należną rezerwę. Wiem, że w Twojem położeniu jest Ci potrzebna przyjaciółka. Postępowanie, które Ci przepisuję, sprawi Ci napewno wiele przykrości. Ale ufaj mej ku Tobie przyjaźni i dawnej mej znajomości serca ludzkiego: odnoś się do niej tak, jak do osoby, która pewnego dnia zostanie bezwątpienia Twoim wrogiem".

Po zwycięskiej kampanji nastąpiło spotkanie cesarzy w Tylży. Stąd pisze do następcy tronu dnia 20 czerwca 1807 roku:

„Życzenie Twoje spełniłem. Raduję się, że cieszysz się z tego".

Uwikłana w sieć wrogiej intrygi młoda kobieta skarżyła się na rozłąkę z mężem wskutek jego wyjazdu na wojnę i prosiła cesarza, by następcę tronu, Karola, przysłał już do domu. Z następnego listu wynika, że młody małżonek wrócił już do ojczyzny:

„Córko, posyłam Ci listy, które otrzymałem z Rosji. Adresowany do Ciebie otworzyłem, drugi zaś doręcz swemu mężowi".

Tu już nie usprawiedliwia się pomyłką. Poprostu otworzył list.

Kiedy następca tronu wrócił do domu, w rodzinie badeńskiej wybuchły niesnaski. Teraz już Stefanja cierpiała nietylko wskutek intryg dworskich, lecz również z powodu postępowania swego męża, który był hulaką i żądnym użycia. Stefanja była zmuszona zwrócić się do Napoleona z szczegółową skargą. Cesarz odpowiedział tak:

„Córko, z najżywszą urazą czytałem o złem postępowaniu Twego mąża. Posyłam swego szambelana, Talleyranda, by mi udzielił bardzo dokładnych informacyj o tej sprawie. Gniewam się na Ciebie, żeś nie pisała do mnie każdego dnia i nie zawiadamiała o wszystkiem, co się działo. Ganię postępowanie Twego męża i oskarżę go przed wielkim księciem. W całej tej sprawie nie rozumiem zachowania się margrabiny".

Dotrzymał słowa: napisał bardzo ostry list do starego wielkiego księcia, dziadka następcy tronu. Są w nim takie urywki:

„Codziennie żałuję tego małżeństwa, które ja sam skojarzyłem. Wnuk Waszej Książęcej Mości unieszczęśliwia księżnę, której jest niegodny. Proszę, by Wasza Książęca Mość zechciał poinformować o swych zamierzeniach w tej sprawie mego szambelana, pana Talleyranda. Jeśli W. Książęca Mość nie będzie czuł się na siłach obudzić w swym wnuku uczuć szacunku i uczciwości względem Jego żony, to ja odwołam swą córkę".

Interwencji Napoleona przeraził się bardzo dwór badeński. Rolę głównego intryganta w tych knowaniach odgrywał książę Ludwik, stryj następcy tronu. Pragnął on gorąco zasiąść na tronie, ale jako młodszy syn wielkiego księcia, tylko wówczas mógł żywić nadzieję objęcia władzy, o ileby następcy tronu nie urodził się syn. To też naturalnie nienawidził Stefanji, od której właśnie można było oczekiwać tego syna. Z pomocą swej bratowej, margrabiny, wytężył wszystkie siły w tym celu, by odstręczyć wzajem od siebie młodą parę małżeńską. Wskutek stanowczej interwencji cesarza, teraz narazie musiał się wycofać. Talleyrand oczywiście wrócił do Paryża z tem, że w Karlsruhe przyrzeczono mu, iż wszystko ułoży się dobrze i pomyślnie.

„Dowiaduję się z radością"—pisał córce Napoleon—„że w stanie Twego zdrowia zaszła poprawa. Licz na moją pomoc w każdej okoliczności, o ile słuszność jest po Twej stronie. Przebacz swemu mężowi, jak każdy mężczyzna, tak i on ma złe i dobre zarazem własności. Kochaj go, mnie zaś donieś o tem, że macie dziecko. Tak tego pragnę".

Młoda para nie miała dotychczas dziecka. Napoleon nie przestawał domagać się od nich potomstwa. Najpierw dlatego, że chciał zniweczyć nadzieje, jakie w sprawie następstwa tronu żywił książę Ludwik, którego cesarz nie cierpiał. Powtóre zaś jemu samemu również przychodziło wciąż na myśl: dziecko. Józefina liczyła podówczas czterdzieści cztery lata i w umyśle cesarza dojrzewał już plan, by wziąć z nią rozwód a pojąć za żonę Marję Ludwikę. W czasie, gdy powikłana ta sprawa dochodziła do skutku, Napoleon rzadziej pisywał do Stefanji. Ale po załatwieniu sprawy rozwodowej znów dość częste stają się listy. Jak dla Józefiny, nawet po zawarciu drugiego małżeństwa, żywił nadal uczucia intymnej przyjaźni, tak również w stosunku do Stefanji pozostał w dalszym ciągu troskliwym i losami jej interesującym się ojcem. Z listu, datowanego z Benewentu pod dniem 3-im stycznia 1809 roku, wynika, że w Erfurcie spotkał się osobiście ze Stefanją. Pisze jej bowiem, że „wypiękniała". Z Schönbrunn zaś pisał do niej pod dniem 14 października 1809 roku: „Dzisiaj przed południem podpisaliśmy pokój, liczę, że pojutrze wyjadę z tej stolicy".

Wkrótce potem umarł wielki książę. Na tron wstąpił Karol. Stefanja została wielką księżną badeńską. W kilka dni po objęciu tronu urodziło się wielkiemu księstwu pierwsze dziecko. Z niewymownem podnieceniem oczekiwał dwór, co będzie: syn czy córka. Bo jeśli syn, wówczas spełzłaby na niczem ewentualność objęcia tronu przez księcia Ludwika. Była wszakże córka. Na ojce chrzestnego poproszono Napoleona. Cesarz, donosząc, że zgadza się zostać ojcem chrzestnym, nazywa męża Stefanji już nie „*Mon fils*", lecz „*Mon frère*". Sposób pisania i forma tego listu jest zupełnie inna od poprzednich. Nie był to już list prywatny, lecz

urzędowe pismo cesarskie o wykwintnej formie zewnętrznej. Tekst jego brzmiał tak:

„Bracie, mile dotknął mnie list, w którym donosisz o narodzeniu księżniczki, Twej Córki. Pragnąc złożyć dowody mej względem Ciebie życzliwości, przyjmuję z radością propozycję zostania ojcem chrzestnym. Z drugiej zaś strony sądzę, że spełnię życzenie całej rodziny, wyznaczając moją kuzynkę, Margrabinę, na matkę chrzestną nowonarodzonej księżniczki i proszę Cię, byś uwiadomił Ją o odnośnych co do tego moich zamiarach. Ponieważ w ceremonji udzielania Chrztu świętego ktoś musi spełniać moje czynności, sądzę, że powinienem Ciebie wybrać, byś tam był obecny i dał dziecku imiona: Ludwika, Amalja, Stefanja. To też upoważniam Cię, byś mnie reprezentował, gdyż znając Twoją staranność, jestem przekonany, że nic takiego się nie stanie, coby uwłaczało mej godności. Z radością korzystam z okazji, by Cię znów zapewnić o swym szczerym szacunku i zupełnej przyjaźni. Proszę Boga, Bracie, by roztaczał nad Tobą swą świętą i czcigodną opiekę. Saint-Cloud, 29 czerwca, 1811 roku. Twój dobry brat, Napoleon".

W archiwum znajdują się jeszcze dwa listy godne wzmianki. W jednym z nich Napoleon opisuje szczegółowo narodziny Orlątka. Wśród innych szczegółów dowiadujemy się z tego listu również i o tem, że życiu niemowlęcia groziło poważne niebezpieczeństwo. Drugi list datowany w Paryżu pod dniem 29-ym grudnia 1812 roku. Napoleon przyjmuje w nim do wiadomości radosną nowinę, przesłaną mu za pośrednictwem barona Haynau przez Stefanję, która zawiadomiła ojca o narodzinach swego pierwszego syna.

Przy osobie tego dziecka trzeba się nieco zatrzymać. Według urzędowego poglądu dworu badeńskiego dziecko to miało wkrótce umrzeć. Ale jest bardziej prawdopodobne, co zresztą wyjaśniają i potwierdzają poważni historycy, że dziecko to nie umarło. Partja dążąca do osadzenia na tronie księcia Ludwika podrzuciła chore niemowlę, które rzeczywiście umarło, ale prawdziwego syna wielkoksiążęcej pary badeńskiej wychowano w więzieniu pod imieniem Kaspra Hausera. Liczył już dwadzieścia lat, gdy został jednak zamordowany podstępem w Ansbach.

Stefanji urodziło się jeszcze potem troje dzieci. W tem również jeden syn, który wszakże umarł jako kilkumiesięczne niemowlę. Książę Ludwik osiągnął wkońcu swój cel: został wielkim księciem badeńskim po śmierci Karola. Najmłodszą córką była księżniczka Marja, babka księcia Jerzego Festetics'a. Lecz Napoleon był już wtenczas przymusowym mieszkańcem wyspy św. Heleny i nie korespondował z krewnymi.

Z wiązanką 36 listów Napoleona pozostaje w ścisłym związku druga grupa listów, zawierająca własnoręczną korespondencję cesarzowej Józefiny ze Stefanją i jej mężem. Stanowi ona również bardzo interesujący i niezmiernie cenny a zarazem nowy materjał historyczny, znajdujący się w archiwum rodzinnem książąt Festetics'ów w Keszthely na Węgrzech.

Z.

NAPOLEOŃSKA IDYLLA

(W 115-tą ROCZNICĘ ŚMIERCI CESARZA)

IMIĘ malutkiej Angielki, Betsy Balcombe, dobrze znane jest tylko badaczom ostatnich lat życia Napoleona. Dzieje niezwykłej przyjaźni cesarza z tą kilkunastoletnią dziewczynką opisała ona sama w swych pamiętnikach, wydanych przez księgarnię paryską „Plon"[1]).

Czternastoletnia Betsy była córką Anglika, Jamesa Balcombe, honorowego członka Wschodnio-Indyjskiej Kompanji na wyspie św. Heleny. Miał on jeszcze drugą córkę, szesnastoletnią Jane. Siostry posiadały krańcowo różne usposobienia. O ile Jane była skromna, zrównoważona i przeciętna, o tyle Betsy — śmiała, hałaśliwa i utalentowana, była urwisem w całem tego słowa znaczeniu.

James Balcombe, osiedliwszy się od dwunastu lat na wyspie, cieszył się tam wielkim szacunkiem i wpływami. Władze angielskie protegowały go za jakieś zasługi jego rodziny. Był to widocznie człowiek bardzo obrotny, bo, nie poprzestając na pracy w Kompanji, prowadził na własną rękę operacje bankowe, budował statki, zaopatrywał w żywność zatrzymujące się w porcie okręty it.p. W ogrodzie swej malowniczej willi „Dzikich Róż" zbudował był Balcombe osobny pawilon dla gości. Admirałowie zawijających do portu statków chętnie się tu zatrzymywali, przekładając ten domek nad jedyny hotel w Jamestown — drogi i lichy.

Jesienią 1815 r. na wyspie św. Heleny nic jeszcze nie wiedziano o zdarzeniach, które przed ośmiu miesiącami wstrząsnęły całą Europą: ani o wylądowaniu Napoleona we Francji i ucieczce Ludwika XVIII, ani o bitwie pod Waterloo i ostatecznej porażce cesarza.

James Balcombe był pierwszym człowiekiem na wyspie do którego dotarły te wieści. Przywieźli je oficerowie z angielskiego statku „Ikar" w pierwszych dniach października. Wszechobecna i ciekawa Betsy, która podsłuchiwała rozmowę ojca z oficerami, dowiedziała się ze zgrozą, że Bonaparte, wzięty do niewoli przez Anglję i skazany na wygnanie przez całą Europę, wyląduje w najbliższych dniach właśnie na ich wyspie, gdzie odtąd ma osiąść na stałe z kilkoma osobami swej świty. W rezultacie staje się niezbędne wyszukanie domu, którego strzeżenie nie przedstawiałoby większej trudności.

Betsy nie grzeszyła zbytnią znajomością dziejów, odnosząc się z równą obojętnością do historji starożytnej i nowożytnej, natomiast, jak każda Angielka w jej wieku, wiedziała, że Bonaparte to potwór z długiemi zębami, który pożera dzieci. Łotrostwami prześcignął podobno wszystkich legendarnych zbójców i nielegendarnych zbrodniarzy, licząc od stworzenia świata do roku pańskie-

[1]) Abell (Betsy Balcombe) „*Napoléon à Sainte Hélène*".

go 1815. Jak na czternastoletnią dziewczynkę było to trochę za naiwne, ale wierzymy autorce na słowo, że istotnie tak myślała.

Niż też dziwnego, że obdarzona tak bujną wyobraźnią dziewczynka z zamierającem sercem odprowadzała ojca na okręt „Northumberland", który w dwa dni później przybił do wyspy z Napoleonem i jego świtą.

„Czy ojciec wróci jeszcze?"— myślała Betsy z przerażeniem.

Jednakże wrócił cały. Napoleona wprawdzie nie widział, lecz przedstawiono go paniom Bertrand i Montholon, które według jego słów nie sprawiały strasznego wrażenia. Bonaparte miał być wysadzony na brzeg wieczorem i pomieszczony tymczasem gdziekolwiek w mieście.

Wieczorem wszyscy mieszkańcy wyspy stawili się na brzegu. Betsy również tam była. Za tłumem i podwójnym szeregiem żołnierzy niewiele udało się jej zobaczyć. Łódka przybiła do przystani i wysiadły z niej trzy osoby. Idącym na przodzie był admirał Cockburn, w końcu marszałek Bertrand, między nimi kroczył Napoleon.

W ciemności trudno było mu się przyjrzeć. Betsy zdążyła zauważyć tylko ogromną gwiazdę, która błysnęła spod płaszcza; właśnie w tej chwili żołnierze zaczęli odsuwać tłum i trzeba było wracać do domu.

W drodze Betsy oddawała się niewesołym myślom. Z osadzeniem na wyspie tego potwora, który, podobno, będzie przebywał na wolności, skończy się jej swoboda. Czyż można będzie teraz wychodzić samej!

Przez całą noc śniły jej się straszne sny.

Już na drugi dzień „potwór" w towarzystwie świty objeżdżał konno wyspę. „Ogląda swoją nową rezydencję" — myślała ze złością Betsy. Następnie widziano kawalkadę, pędzącą w kierunku gór, a w cztery godziny później pokazała się ona na skrzyżowaniu wielkiej drogi i alei Dzikich Róż. Jeźdźcy zatrzymali się na chwilę, jakby poto, aby się naradzić, a potem, ku wielkiemu przerażeniu Betsy, pogalopowali w kierunku willi. Dziewczynka krzyknęła i chciała uciekać, ale już było zapóźno. Ojciec zatrzymał ją, wziął za rękę i drżącą, opierającą się poprowadził na spotkanie nadjeżdżających.

Napoleon zszedł z konia. Admirał Cockburn przedstawił mu rodzinę Balcombe i zwrócił uwagę na malownicze położenie willi, poczem „potwór" usiadł na tarasie.

Teraz Betsy miała możność obejrzeć go zbliska i jej przestrach natychmiast przeszedł w zachwyt: tak pięknym wydał jej się Napoleon, tak czarujące były jego uśmiech i głos.

Cesarz nie spostrzegł zachwytu bijącego z oczu małej Angielki. Patrzał na widok, roztaczający się z terasy i mimowoli poddawał się jego urokowi. Wreszcie wyraził życzenie zamieszkania tutaj, dopóki nie zostanie ukończony dom w Longwood.

Na szczęście domek w ogrodzie był wolny. Coprawda składał się on tylko z jednego pokoju, ale w bagażu cesarz miał duży podróżny namiot, który można było rozbić w ogrodzie.

Napoleon usiadł na trawie i zaprosił Betsy, by zajęła miejsce obok.

Strach dziewczynki przeszedł, lecz owładnęło nią teraz tak silne zmieszanie, że gdy cesarz zapytał, czy mówi po francusku, odpowiedziała ledwie dosłyszalnem: „tak".

Obchodząc się z nią jak z dzieckiem, Napoleon zaczął od egzaminu z geografji.

— Jakie miasto jest stolicą Francji? — zapytał.

— Paryż.

— Włoch?

— Rzym.

— A Rosji?

— Teraz Petersburg, a dawniej Moskwa.

Na tę odpowiedź cesarz nagle podniósł się, wbił w dziewczynkę wzrok i ostro spytał.

— Kto ją spalił?

Na myśl, że mówi z nią były władca świata, Betsy znowu ogarnął strach.

— Nie wiem panie,—wyszeptała.

Napoleon roześmiał się.

— Nieprawda, wiesz dobrze. To ja spaliłem Moskwę.

Zachęcona jego śmiechem Betsy nabrała odwagi.

— Ja myślę—rzekła—że Moskwę spalili Rosjanie, aby wypędzić z niej Francuzów.

Napoleonowi widocznie podobała się ta odpowiedź. Po obiedzie znowu przyszedł do Balcombe'ów i przepędził u nich cały wieczór, a że nikt, oprócz Betsy, nie mówił po francusku, więc cesarz stale zwracał się do niej.

Dowiedziawszy się, że dziewczynka jest muzykalna, poprosił aby coś zaśpiewała. Betsy zanuciła mu, jak umiała, jakąś ludową, szkocką piosenkę przy akompanjamencie harfy. Napoleon pochwalił, lecz zauważył, że francuska muzyka stoi wyżej i na dowód zaśpiewał, a raczej zamruczał francuską ludową piosenkę: „Niech żyje Henryk IV".

Betsy z dziecięcą naiwnością przyznała się, że ta pieśń nie wydaje jej się interesująca.

Tak zawarta została znajomość Betsy z Napoleonem. „Straszydło" po bliższem poznaniu okazało się nietylko nie strasznem, lecz przeciwnie bardzo ujmującem.

W rezultacie zawiązuje się szczera przyjaźń. Dziewczynka zaraz po obudzeniu się biegnie do pokoju przyjaciela, bierze go za rękę i przemocą wyprowadza na spacer. Zmusza go do biegania, bawienia się i płatania figlów. Przerywa mu rozmowę z Las Cases'em, dotyka wszystkich rzeczy, rozrzuca papiery. Kiedy jej przyjaciel chce usiąść, ona zmusza go do wstania, kiedy chce mówić — zmusza do milczenia. Słowem, rozkazuje mu, komenderuje nim, a były władca świata bez sprzeciwu poddaje się wszystkim kaprysom dziewczyny-postrzeleńca.

Ten, którego nazywano wielkim despotą, znajduje na wyspie św. Heleny maleńkiego despotę i dobrowolnie poddaje się terrorowi, który nietylko nie ciąży mu, lecz przeciwnie sprawia ogromną przyjemność.

Betsy jest wprost niestrudzona w płataniu figlów. Wyznaje cesarzowi, jak niegdyś bała się jego i opowiada, że jej przyjaciółka miss Legg dotąd się go boi i dlatego tak rzadko ją odwiedza. Nagle przychodzi jej do głowy doskonała myśl: Zwabi przyjaciółkę do siebie, wyjdzie z nią do ogrodu, a on zaczai się, „uda potwora" i rzuci się

na dziewczynkę. Można sobie wyobrazić jak ona się przestraszy! To dopiero będzie wesoło!

Opracowali cały plan w największej tajemnicy. W parę dni później miss Legg rzeczywiście przyszła. Betsy z niewinną minką oprowadzała ją po ogrodzie. Nagle zza krzaku wysunął się „potwór". Napoleon genjalnie odegrał swą rolę: z rozwichrzonemi włosami, ze strasznie przewróconemi oczami istotnie przypominał ludożercę. Kiedy z dzikim rykiem rzucił się ku dziewczynce, biedaczka zemdlała z przerażenia i wyniesiono ją na rękach z ogrodu.

Betsy śmiała się jak szalona, a Napoleon porykiwał jeszcze, groźnie przewracając oczy, ale mimo wszystkich wysiłków nie udało mu się przestraszyć swojej ulubienicy.

Nie zawsze jednak Bonaparte był usposobiony do zabawy. Pewnego razu usiadł przy małym stoliku koło fontanny i zaczął coś pisać. Betsy obrażona o to, że nie zwraca na nią uwagi, postanowiła dać mu nauczkę. Zwabiwszy Toma Pipsa, wielkiego nowofundlandzkiego psa admirała Cockburna, bardzo lubiącego wodę, Betsy wykąpała go, a potem przyprowadziła do stołu Napoleona, aby się otrząsnął. Momentalnie cesarz, jego nieposzlakowanej białości jedwabne pończochy, pantofle i w dodatku papiery zostały zalane wodą.

Tego już było zawiele i rodzice Betsy zamknęli ją za karę w piwnicy. Napoleonowi zrobiło się żal małej przyjaciółki. Usiadł przy okratowanem oknie, za którem płakała uwięziona i zaczął ją przedrzeźniać. W końcu Betsy nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Ale nie tylko Betzy wymyślała figle—czasami robił to i Napoleon. Pewnego razu grali w karty w pokoju. Na kanapie leżała nowa suknia Betsy, specjalnie uszyta na bal u admirała Cockburna — pierwszy bal w jej życiu. Stawką Bonapartego był napoleondor, jej stawką 10-cio frankowa moneta—cały jej majątek. Nagle dziewczynka przyłapała cesarza na szulerce. „A to dlatego on wygrywa! W takim razie ona nie ma obowiązku płacić".

On upierał się przy swem prawie do 10-frankówki, ona kategorycznie odmawiała zapłacenia jej. Wreszcie cesarz zamiast pieniędzy chwyta jej suknię z kanapy i ucieka z nią do siebie.

Napróżno Betsy stuka, prosi i płacze. Można sobie wyobrazić, jak przeżyła wieczór. Dopiero w chwili, kiedy cała rodzina była już gotowa i rozpacz Betsy dosięgła zenitu, cesarz wyniósł jej suknię.

Ten epizod jeszcze bardziej wzmocnił ich przyjaźń.

Ale wszystko się kończy. Skończyła się i napoleońska idylla. Nastąpił dzień, w którym zawiadomiono go, że dom w Longwood jest gotów i że musi się tam przenieść. Rozstając się ze swym przyjacielem i towarzyszem zabaw, Betsy zalewała się łzami. Nie pocieszyła jej nawet bombonierka, ktorą podarował jej na pożegnanie.

W Longwood widywali się znacznie rzadziej, Napoleona otoczono tam bardziej surowym nadzorem. To go drażniło i odbierało chęć do zabawy.

W Betsy również zaszła zmiana — z dziewczynki zmieniła się w dorosłą pannę, adorowaną przez wszystkich oficerów. Napoleon, oczywiście, nie mógł już odnosić się do niej jak do dziewczynki.

Wreszcie gubernatorem wyspy mianowano Hudsona Lowe, nikczemnika, który uznał za wskazane usunąć z życia jeńca nawet najmniejszy promyk radości.

Takim promykiem w życiu Napoleona była przyjaźń z rodziną Balcombe. To też Hudson Lowe zmusił ich do opuszczenia wyspy. Stary Balcombe, spieniężywszy majątek, przeniósł się z rodziną do Australji. Tam Betsy wyszła zamąż za p. Abell. W 1835 r. owdowiawszy wróciła do Europy i zamieszkała w Londynie. Po przeniesieniu szczątków Napoleona z wyspy św. Heleny, kiedy pamięć jego znowu odżyła w całej Europie, pani Abell ogłosiła swe pamiętniki o jego pobycie na wyspie.

Nie wzbogaciło to jej jednak. Żyła prawie w nędzy. Starania jej u cesarzowej Eugenji o stanowisko damy dworu spełzły na niczem. Skuteczniejsze były kroki poczynione u Napoleona III. Kuzyn wielkiego Korsykanina podarował jego przyjaciółce majątek w Algierze.

Pani Abell umarła w 1872 r. licząc lat siedemdziesiąt.

BOHDAN GĘBARSKI

MOTYWY WIOSENNE

SKOWRONEK

Na słonecznej nitce
Szary ptaszek wisi,
Śpiewa Panu Bogu,
Polsce i Marysi.
Oj dana!

I ja, choć nie fruwam,
A to samo robię
I, jak umiem, śpiewam
Bogu, Polsce, Tobie.
Oj dana!

ŻABKA ZIELONA

Żabko zielona, jak liść zielona,
Na szarym drzewie
Siedzisz ukryta, w zieleń spowita,
Nikt o tym nie wie.

Gdzieś kracze wrona! Żabko zielona,
Nie ruszaj łapką,
Siedź cicho, cicho, aż minie licho,
Zielona żabko!

Niech szmaragdowa zieleń cię chowa,
Niby zasłona,
Od oczu wroga, biedulko droga,
Żabko zielona!

FIJOŁEK

Hejże ino, fijołeczku,
Coś mi zakwitł w ogródeczku,
Bądź radością moich oczu,
Rośnij sobie na uboczu,
Niech cię ludzie nie dostrzegą,
A Bóg chroni ode złego!

SOSNA

Z mazurskich piasków czerpiąc treść,
Ku niebu wznosić pień,
szumiąc dawać Bogu cześć,
A ludziom wonny cień!

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

„Czarne koszule" na Czarnym Lądzie. — Zadanie, które im przeznaczono. — „Ludzie przewrotu" i normalizacja.— Przykład Irlandji. — Faszystowska organizacja bojowa. — Myśl Mussoliniego.

„Wojska włoskie wkroczyły do Addis-Abeby... Oddziały czarnych koszul"...— Każdy uważniejszy czytelnik komunikatów wojennych z Etjopji musiał spostrzec niezwykle wydatną rolę, jaką w walkach na terenie Abisynji, już od pierwszych dni działań wojennych, wyznaczył w planie swoim Mussolini zmilitaryzowanym zastępom faszystowskim. Sens i cel tej akcji „czarnych koszul" na Czarnym Lądzie niewątpliwie zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Ewolucja milicji partyjnej jest tu bowiem — na przestrzeni lat kilkunastu — zjawiskiem pouczającem i znamiennem: z „bojówki" stronnictwa, poprzez rodzaj upaństwowionej służby bezpieczeństwa, tworzy się, w końcowym etapie, armja walcząca z wrogiem zewnętrznym, zdobywająca narodowi włoskiemu nowe, zamorskie imperjum.

Jednakże — jak wskazują różne zapowiedzi — nie tu kres planu co do użycia oddziałów faszystowskich na ziemi afrykańskiej: „czarne koszule", po opanowaniu Abisynji jako żołnierze, mają skolonizować ją jako osadnicy. Tutaj dopiero w całej pełni ujawniają się daleko sięgające skutki, jakie nabytki kolonjalne Włoch mogłyby przynieść w rozwoju stosunków politycznych na półwyspie Apenińskim. Skutki przytem na tem większą zasługujące uwagę, że dotyczą jednego z zagadnień wewnętrznych, które w szeregu państw w naszych czasach — nie zaś tylko w Italji faszystowskiej — jest problematem i doniosłym i niezmiernie trudnym do rozwiązania.

Chodzi mianowicie o te kraje, które, w tej czy innej postaci, przeszły przez zmianę systemu politycznego, rządu, ustroju, dokonaną sposobem rewolucyjnym ze strony grup zorganizowanych na modłę wojskową lub półwojskową. Owi „ludzie przewrotu" właśnie, przyuczeni do metod rewolucji, rzadko mieli okazję wykształcenia w sobie cech i umiejętności, najniezbędniejszych w prawidłowym biegu życia państwowego, — natomiast wdrożeni są do trybu myślenia i postępowania, zwykłego u rewolucjonistów, a wskutek tego samem istnieniem swojem, swoją psychiką, swojemi nałogami utrudniają — tak konieczne na dalszą metę — dzieło normalizacji. Ponieważ zaś uważają się oni — i słusznie — za współtwórców zwycięstwa, bardziej niż inni uprawnionych do spożywania jego owoców, ponieważ są siłą zorganizowaną, a rekrutowali się z jednostek pełnych temperamentu i odwagi, sprawa użycia ich odpowiedniego staje się wielką kwestją polityczną, od której trafnego rozstrzygnięcia dużo bardzo może zależeć.

Szczególnie charakterystycznym przykładem są pod tym względem dzieje powojenne Irlandji, gdzie długoletnia walka konspiracyjna, później powstańcza przeciwko rządom angielskim wychowała całe zastępy ludzi, którzy w normalnem życiu Wolnego Państwa niejednokrotnie wiele przysparzają kłopotów. Ci rewolucjoniści bez zajęcia, bojówki skazane na bezrobocie, są od lat kilkunastu źródłem rozlicznych trudności i kryzysów: w nich w znacznej mierze tkwiła przyczyna — psychologiczna i socjalna — wojny domowej, co tak dotkliwie wstrząsnęła Irlandją w pierwszych miesiącach niepodległości, oni następnie przyczyniali trosk rządom zarówno Cosgrave'a jak de Valery, będąc podłożem dla ruchów politycznych, w rozmaity sposób anarchizujących kraj i odrywających naród od pozytywnej pracy.

Bojowe organizacje faszystowskie ożywione były duchem wielkiego poświęcenia, ich wytrwałość, karność, siła liczebna w decydujący sposób przyczyniły się do zwycięstwa partji i objęcia steru państwa przez jej wodza. Mam przed oczyma ozdobne wydawnictwo: *„Pagine eroiche della rivoluzione fascista"*, a w niem portrety i życiorysy kilkuset młodych Włochów, poległych — przeważnie w starciach ulicznych z komunistami — w przeciągu czteroletniej zgórą walki faszyzmu o zdobycie władzy. „Czarne koszule" złożyły daninę krwi i w sposób trwały zapisały się w historji swojego narodu.

Skoro wszakże tryumf został osiągnięty, nowy ustrój państwa zabezpieczony, dalszy byt bojowej organizacji partyjnej coraz wyraźniej zaczął stawać się anachronizmem. Już przed siedmiu czy ośmiu laty, znalazłszy się we Włoszech, miałem sposobność poczynienia na ten temat ciekawych spostrzeżeń. Byłem właśnie w Rawennie, w dniu pierwszego maja. W spokojnem, niewielkiem mieście praca szła jaknajnormalniej, socjalisty nie znalazłbyś na lekarstwo, nikt nie pamiętał, że ten dzień powszedni miałby być „świętem", rewją sił „międzynarodowego proletarjatu"... Właściwie, n i k t n i e p a m i ę t a ł b y, gdyby od wczesnego ranka nie jeździły raz po raz ulicami auta ciężarowe, pełne młodych faszystów, umundurowanych, krzyczących aż do zachrypnięcia: „Precz z walką klas!!", „Precz z komunizmem!!", „Precz z międzynarodówką socjalistyczną!!"

Podobnież faszystowska straż kolejowa w swoim czasie, opanowawszy drogi żelazne, w ogromnej mierze dopomogła Mussoliniemu w zwycięskiem przeprowadzeniu przewrotu. Ale w szereg lat po utrwaleniu się nowego porządku, owe „czarne koszule", kręcące się po wagonach, kontrolujące służbę kolejową i podróżnych, musiały, cudzoziemcowi zwłaszcza, wydać się czemś niezupełnie normalnem, conajmniej niepotrzebnem, jeżeli inne państwa europejskie bez użycia takich środków ostrożności szczęśliwie potrafią się obchodzić.

Organizacja bojowa partji, zdobywszy dla niej władzę w drodze rewolucji, może stać się, w następnym okresie, przyczyną wielu niebezpieczeństw: wystarczy przypomnieć dzieje hitlerowskich *Sturm - Abteilungen* oraz ich komendanta Roehma. Jest dowodem głębokiej myśli politycznej Mussoliniego — męża stanu, jeśli energję, odwagę i temperament „czarnych koszul" zwraca w kierunku kolonjalnym, gdzie z natury rzeczy szczególnie cenna okaże się psychika z d o b y w c ó w, która we własnym kraju, w stosunku do własnych rodaków nie zawsze bywa najodpowiedniejsza. Najwłaściwsze wyzyskanie wszystkich sił, patrjotyzmu, entuzjazmu, ożywiających naród, wydobycie z różnorodnych typów ludzkich *maximum* ich wartości i skierowanie ich ku największemu dobru sprawy wspólnej — to istotnie twórczość historyczna najwyższej miary, której dziś wódz Włoch faszystowskich daje świadectwo. Pod niejednym względem — w bliższej i dalszej przyszłości — Italja odczuje jej skutki błogosławione.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

NIGDY „LINJA PODZIAŁU“ NIE UJAWNIŁA SIĘ TAK WYRAŹNIE, JAK W DNIU 1-YM MAJA. Dnia tego bowiem w licznych pochodach o niedwuznacznym, komunistycznym charakterze, zamanifestował swoją postawę bojową nacjonalizm żydowski, skoalizowany z żywiołami z imienia wprawdzie polskiemi, ale z zagłuszonemi jednak narodowemi instynktami.

Coprawda, obserwując wyległy na ulicę tłum marksistowski, można było stwierdzić, iż element nieżydowski nie przekraczał tam 30-stu procent. I to jest stwierdzenie najważniejsze. Rzuca ono istotne światło na tryumfalne pokrzykiwania warszawskiego „Robotnika“. Możemy służyć światłem i z innych reflektorów. Oto w Łodzi kapitaliści żydzi dokładali wszelkich starań, aby ich fabryki w dniu „święta pracy” stały pustkami; bardziej się boją reform gospodarczych Obozu Narodowego, aniżeli straszaków komunistycznych, których działanie regulują przecież własnemi wkładami pieniężnemi...

Nacjonalizm żydowski, podniecony bezkarnością, pokazał swoje oblicze bez żadnych obsłonek. Oto pochód „Bundu“ śpiewał w Warszawie bezczelnie „Hatikwę“, ufając bezbrzeżnej głupocie podporządkowanych mu w t. zw. „froncie ludowym“ gojów. Oto w jednym z pochodów czerwonych na ulicach „północnej dzielnicy” wznoszono uparcie okrzyki: „Niech żyje wyższość kultury żydowskiej!”

Jakże na tle tego wszystkiego wygląda zapewnie p. Niedziałkowskiego: „My powracamy!” My? — to znaczy kto? I w jakiem towarzystwie? I wśród jakich okrzyków? I za jakie pieniądze?

„Linja podziału“ zarysowuje się coraz bardziej. Z jednej strony „Hatikwa“, wysiłki kapitalizmu żydowskiego i zaciśnięte pięści na widok eskadry samolotów wojskowych, z drugiej strony karne, wspaniałe szeregi armji i entuzjazm w miljonowych masach narodu polskiego. Z jednej strony ambicje i interesy nacjonalizmu żydowskiego, z drugiej— ambicje i interesy nacjonalizmu polskiego.

Zdawałoby się, że wybrać nie trudno, że bez namysłu należy przystać do szeregów polskich. A jednak do tej pory znajduje się pewna ilość nieżydów, dobrowolnie poddających się obowiązkom wasalstwa żydowskiego. Przykre i niezrozumiałe, doprawdy, zjawisko. Przelewać krew w imię rzekomej wyższości kultury żydowskiej? Istotnie, skromna to dla Polaka ambicja...

W JAK GROŹNEJ SYTUACJI ZNAJDUJE SIĘ FRANCJA, świadczą słowa marszałka Pétain’a, wypowiedziane przez tego wielkiego wodza w rozmowie prowadzonej przed kilkoma dniami z współpracownikiem „*Journal*’a“:

„Francja jest zagrożona“ — mówił marszałek. „Wyciągając rękę do Moskwy, wyciągnęliśmy ją do komunizmu, do którego przywiedliśmy w ten sposób mnóstwo poczciwych ludzi, co dotychczas bronili się przed nim. Wprowadziliśmy komunizm w obręb doktryn możliwych do przyjęcia. Będziemy mieli prawdopodobnie sposobność pożałowania tego“. A dalej: „Jestem, panie, niespokojny. Niespokojny o losy Francji oraz swobody Francuzów. Tu już nietylko o zbiorowość chodzi, lecz o prawa każdego z nas: burżua, robotnika, chłopa“.

Przestrogi swoje zakończył marszałek Pétain temi słowy: „Powiedz pan, że Francja jest mniej nieszczęśliwa niż Niemcy, mniej niżeli Włochy. Kwestja chleba jest dla nas mniejszego znaczenia niż gdzieindziej. Jednak Niemcy, ani Włochy nie zwątpią, a my zwątpimy. Jest to skutek tego, iż u nas kryzys nie jest kryzysem materjalnym. Myśmy stracili wiarę w nasze przeznaczenie—a to wszystko. Jesteśmy jak marynarze bez sternika i bez steru. Z tem przedewszystkiem trzeba walczyć. Przychodzimy po miljonach istnień, które trudziły się i cierpiały po to, żebyśmy byli tem czem jesteśmy. Mają one prawo wymagać od nas przynajmniej przedłużenia ich wysiłku“.

Do ocknięcia się i wzmożenia ducha, do nabrania wiary i pozbycia się zwątpienia nawołuje Francję jeden z wielkich jej synów, zwycięzca z pod Verdun, ale tego właśnie nie chcą panowie— Blum, Thorez i t. p. „zwycięzcy“ z ostatnich wyborów parlamentarnych... Doszło już do tego, że o losach Francji zaczną decydować ci, co jej nienawidzą i gotowi w każdej chwili utopić w morzu krwi oraz nędzy.

NAUKA i LITERATURA

BŁĘDY GOSPODARKI POLSKIEJ

ROZPACZLIWE położenie gospodarcze i coraz bardziej szerząca się nędza zmusza poprostu do interesowania się sprawami ekonomji. Jest to temat najaktualniejszy i tak jak niegdyś Stańczyk zakładał się, że najwięcej jest na świecie lekarzy, tak my śmiało możemy twierdzić, że najwięcej dzisiaj mamy ekonomistów i wogóle tych, co pragną leczyć tak ciężko chore nasze życie gospodarcze.

Książek jakie na ten temat ukazują się jest takie mnóstwo, że nie na wszystkie warto zwracać uwagę, bo i z tych ciekawszych złożyłaby się spora bibljoteka. Za taką właśnie ciekawszą uważam niedawno wydaną pracę p. dr. E. Muellera p. t. „Błędy gospodarki polskiej“ (Gdynia 1935).

Już sama okładka, opatrzona czerwonym stemplem „konfiskata zdjęta”, wyróżnia tę publikację od tylu innych, a przeczytawszy przedmowę tłumacza (M. Iwanowskiego), autora i wstęp, widzimy, że jest to rzecz jedyna w swoim rodzaju.

Napisał bowiem tę książkę Niemiec, wprawdzie mocno z Polską związany i będący chyba na pograniczy obu narodów, gdzie się plączą poczucia i sympatje, ale zawsze nam bądź co bądź obcy i patrzący na nas jak obcy. Taki głos obcego a surowego obserwatora ma zawsze pewną wartość dla samej choćby odmienności i różności spojrzenia.

To też jeśli ukazanie się tej książki specjalnie zaznaczam, to przedewszystkiem ze względu na tę jej osobliwość. Ani bowiem treść obfitująca w szczegóły, oparta na materjale prasowym, ani dosyć drobiazgowy program wyjścia nie są czemś wyjątkowem. Podobnych (czasem lepszych, czasem gorszych) można dużo wyczytać, a co do programu to cierpi on na brak wyraźnej, teoretycznej podstawy, jaka przy każdej wielkiej reformie jest konieczna. Zdrowy rozsądek i bystra orjentacja nasuwa jednak autorowi szereg trafnych pomysłów i to co pisze, jako materjał do dyskusyj i przemyśleń, ma pierwszorzędną wartość.

Wogóle charakteryzując tę rzecz, trzeba podkreślić, że autor jest przedewszystkiem praktykiem i analitykiem — od teorji i syntezy stoi zdala, co ma swoje złe i dobre strony. Dobre bo wprowadza w samo centrum kwestji i w wir poszczególnych zagadnień,—złe, bo nie daje ogólnego obrazu. Dzisiejszość polska wychodzi w „Błędach“ bardzo ciemno,

ale trzeba pamiętać, że poza rządem jest u nas i naród, a jego za tak fatalny stan gospodarstwa winić nie można. Zła dzisiejszość zmieni się gdy cały system dzisiejszy ulegnie zmianie. Ten wniosek nasuwa się jako niezbędna korektywa przy czytaniu tej interesującej książki.

Cyfry i dane, dotyczące wszechwładzy gospodarczej żydów i wykorzystywania przez nich obecnej sytuacji bardzo wymowne, a byłoby jeszcze wymowniejsze, gdyby Główny Urząd Statystyczny chciał opracowywać pewne statystyki, o których brak słusznie autorowi chodzi. Słowem książka warta przeczytania. K. S. F.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Miasto Łódź przyznało w tym roku nagrodę „literacką" znakomitemu pracownikowi na polu filozofji, psychologji i logiki, prof. Uniw. lwowskiego Kazimierzowi Twardowskiemu.

*

Prof. Uniw. warszawskiego Tadeusz Zieliński wygłosił w tych dniach w Helsingforsie dwa odczyty o mesjaniźmie Horacego. Znakomitego uczonego przyjmowano owacyjnie.

*

Na zaproszenie belgijskiego Instytutu *des hautes études* prof. Władysław Tatarkiewicz wygłosił w końcu ubiegłego miesiąca w Brukseli trzy odczyty pod ogólnym tytułem: „*Le problème esthétique de la poésie*". Pierwszy z odczytów nosił tytuł: „Sztuka i poezja", drugi — „Poezja i proza", trzeci „Skupienie i marzenie".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Instytut Literacki przystąpił do wydania „Dzieł wszystkich" Stanisława Brzozowskiego w 12 tomach. Na początek wyszedł tom IV, tworzący osobną całość, p. t. „Kultura i życie" w opracowaniu K. Wyki. Całość pozostaje pod redakcją Artura Górskiego i Stefana Kołaczkowskiego.

Tom teraz wydany, objętości 448 str., zawiera szereg rozpraw na tematy filozoficzne i literackie z powodu przeczytanych książek.

Wszystkie artykuły Brzozowskiego są ciekawe, jako próbki umysłowości bardzo pobudliwej w zetknięciu z cudzą myślą, i bardzo ruchliwej. Niezwykły talent łatwego i obfitego wypowiadania się (przy ustawicznem czytaniu książek) zapewniał mu za życia poczesne miejsce w literaturze bieżącej. Budził zaiteresowanie, nieraz decydował o modzie sezonowego światopoglądu. Rzeczowej informacji nie dawał, wiedzy nie pomnażał. Obrazy jego myślowe działały raczej estetycznie, jak poematy, których niejasność tłumaczymy sobie filozoficznością, gdy w tej znowu cenimy sobie nadewszystko sam ruch w nieskończonych przestrzeniach idej, bez względu na cel i pożytek tych powietrznych podróży.

Wyraźnej potrzeby wydawania pism Brzozowskiego nie widać, zmieniły się bowiem czasy — dzisiaj umysły pragną rzeczowych i metodycznych instrukcyj. Zwłaszcza, że wystarcza w zupełności praca B. Suchodolskiego, który wyręczył generację, wszystko co Brzozowskiego było przeczytał, a tak streścić i usystematyzować treści niktby nie potrafił. Brzozowski sam, gdyby przeczytał Suchodolskiego studjum, byłby zdziwiony, że to, co on wysnuł z siebie, w tak systematyczną układa się całość.

Znacznie dotkliwiej odczuwamy brak zebranych pism krytycznych Piotra Chmielowskiego, choćby wyboru rozpraw, dotąd osobno nie wydanych. (Z.)

*

Stowarzyszenie Chrześć. Nar. Nauczycieli Szkół Powsz. w Warszawie wydaje pismo dla młodzieży p. t. „Młody Polak". Dwutygodnik ten przeznaczony jest dla starszej młodzieży szkół powszechnych. Wysoki poziom pisma opartego o ideologję katolicką, doskonała redakcja, niska cena abonamentu (4 zł. rocznie), sprawiają, że można „Młodego Polaka" polecić bibljotekom dla młodzieży, oraz rodzinom. Adres Redakcji: Warszawa, ul. Chmielna 58.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Bardzo pouczający zbiór myśli i poglądów głośnego myśliciela socjalistycznego Georges'a Sorel'a wydał I. Variot p. t. „*Propos de Georges Sorel*" (*Editions* „*Nouvelle RevueFrançaise*"). Sorel pomimo swego ortodoksyjnego marksizmu, odznaczał się niezwykłą niezależnością myśli w stosunku do urzędowej doktryny socjalistycznej. O republice demokratycznej np. wyrażał się w ten sposób:

...„działa ona"—mówił — „jak najbardziej autoratywne ustroje, działa jednak gorzej i powolniej z powodu swoich zasad, lub też z ich pozorów. Jej działania są niemoralne; znieprawiają one ludzi i pociągają za sobą masy jednostek, które kiedyś drogo zapłacą za swoją uległość ludziom, niezasługującym na szacunek". Wśród tego rodzaju ludzi umieszcza Sorel przedewszystkiem „arriwistów socjalizmu w rodzaju Jaurès'a, Briand'a, Millerand'a" it.p. Tym „czystym"— jak ich nazywa — zarzuca Sorel, iż zawarłszy ugodę z demagogją parlamentarną, dali się zjednać burżuazji, którą uważa za twórczynię w dziejach Francji wszelkiego bezładu oraz łowienia ryb w mętnej wodzie. Socjalistom i burżuazji zarzuca Sorel ich ślepotę i fałszywość humanitarno-pacyfistyczną.

„Pacyfiści"—powiada — „są to albo głupcy, którzy zapoznają prawo elementarne, albo figlarze, co uprawiają demagogję i żyją ze swoich kłamstw". Przewidując wojnę — która niedługo kazała na siebie czekać — pisał: „To przecie nie za pomocą gadulstwa socjalistycznego można będzie przeciwstawić się wypadkom; dokona się to przez zasady nacjonalizmu". O tych, co propagują brednie pacyfistyczne, wyrażał się Sorel w ten sposób: „Być może zdobędą oni sobie miejsce w czasie wojny, jak je sobie zapewnili w polityce międzynarodowej".

Takich i t. p. uwag, które nie straciły dotychczas swojej aktualności, pełno w zbiorku „poglądów" słynnego autora „*Réfléxions sur la Violence*". (W. J.)

*

W połowie kwietnia zmarł w Genewie, przeżywszy 62 lata, znakomity krytyk francuski Albert Thibaudet. Po ukończeniu studjów uniwersyteckich szybko się zaznaczył na polu literatury szeregiem dzieł wybitnych, które mu pozyskały rozgłos także poza granicami Francji. Wykładał literaturę francuską na uniwersytetach w Upsali, Yorku, wreszcie najdłużej — 12 lat — w Genewie, gdzie go śmierć zaskoczyła. Pisywał w pismach szwedzkich, angielskich i francuskich. Zostawił wiele cennych prac, wśród których wymieniamy główniejsze: „*La poésie de Stéphane Mallarmé*", „*Les idées de Charles Maurras*", „*La vie de Maurice Barrès*", „*Gustave Flaubert*", „*Le Bergsonisme*", „*Mistral*". Ze studjów politycznych zwraca uwagę jego „*La République des professeurs*". Thibaudet współpracował stale w „*La Nouvelle Revue Française*". (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

ZBIORY DR. POPŁAWSKIEGO

JUŻ od dłuższego czasu otwarta jest w salach Muzeum Narodowego (przy Al. 3-go Maja) wystawa obrazów ze zbiorów dr. Jana Popławskiego, zakupionych, za pośrednictwem Zarządu Miejskiego, dla naszego muzeum. Wystawa — jak to miałem sposobność stwierdzić, kilkakrotnie ją odwiedzając — cieszy się powodzeniem i można na niej spotkać nietylko osoby specjalnie interesujące się dawnem malarstwem, lecz także skromnych przedstawicieli tego rodzaju publiczności, jaką nieraz widujemy w Zachęcie. Liczne też są wycieczki młodzieży szkolnej, której objaśnień udzielają do tego celu wyznaczeni przez muzeum przewodnicy.

Kolekcja dr. J. Popławskiego składa się z 95 obrazów, przykładów malarstwa: staroniderlandzkiego, flamandzkiego i holenderskiego. Malowideł artystów francuskich, hiszpańskich i włoskich posiada ten zbiór b. niewiele (zato w pięknych okazach), gdyż nie były one głównym przedmiotem zainteresowań zbieracza.

Chociaż na naszym rynku antykwarskim błąka się sporo płócien, t. zw. popularnie „starej szkoły" (ulubiona nazwa antykwarjuszy!) zwykle b. pośledniej jakości, zbieracze znawcy, w rodzaju dr. Popławskiego, dziś nie istnieją. Nie są mi znani także w Warszawie poważniejsi zbieracze innego typu. Pewne tradycje zbierackie posiadał Kraków. Rozkwit naszej sztuki, na końcu XIX-go

i początku XX-go stuleci, osobisty i bezpośredni kontakt artystów z inteligencją krakowską sprawił, iż wielu przedstawicieli t. zw. wolnych zawodów, np. lekarzy, poczęło gromadzić dzieła sztuki. Była to jednak, w odróżnieniu od zawartości zbioru omawianego, sztuka współczesna, a jej amatorzy nie pretendowali zapewne do nazwy zbieracza w klasycznem tego słowa rozumieniu, poprzestając poprostu na zaspokajaniu swych potrzeb natury estetycznej. U dr. Popławskiego zaś, właściciela i twórcy zbioru wystawionego teraz w muzeum, zadowalanie pasji zbierackiej szło w parze z coraz bardziej pogłębianem znawstwem przedmiotu i ta wiedza właśnie kierowała jego poszukiwaniami. Na zakres zbieractwa lekarza, mieszkającego stale w Petersburgu, nie bez wpływu pozostało środowisko, w którem przebywał. A ruch artystyczny w tem środowisku był ożywiony, posiadało ono wśród zbieraczy jednostki o wysokiej kulturze, których zainteresowania zwracały się przedewszystkiem w kierunku malarstwa holenderskiego, głównie XVII-go wieku. Ten rodzaj zbieractwa uprawiał znakomity uczony rosyjski, z wykształcenia przyrodnik, Siemionow, polując zwłaszcza na mniej znane okazy i nazwiska, stanowiące uzupełnienie niejako oficjalnej historji sztuki i oficjalnych zbiorów Ermitażu.

Te upodobania udzieliły się także innym, mniej znakomitym zbieraczom rosyjskim, a do pewnego stopnia i dr. Popławskiemu. Jest w podobnych skłonnościach więcej cech naukowych, niż artystycznych; okaz rzadki uzupełnia nieznane szczegóły w całości obrazu, a do odtworzenia wizerunku pewnych zjawisk kulturalnych, jaknajbardziej wiernego, ścisłego i drobiazgowego, dążą przedewszystkiem uczeni. Uczonych interesują wszystkie karty historji przeszłości, miłośników piękna — tylko najpiękniejsze.

Rozpatrywany z tego punktu widzenia, zbiór dr. Popławskiego, obok dzieł istotnie wartościowych i pięknych, posiada sporo malowideł zupełnie wtórnego znaczenia. Pytanie, czy należało je nabywać dla Muzeum Narodowego? Dla wyjaśnienia sobie tej kwestji, przypomnijmy, iż zbiór swój gromadził dr. P., z wyraźnym planem, a nie przypadkowo, że starał się o systematyczne uszeregowanie przykładów malarstwa holenderskiego i flamandzkiego, od XVI-go do XVIII-go stulecia. Rozbicie takiej kolekcji, przez usunięcie z niej dzieł słabszych, jako zbędnego balastu, równałoby się zniszczeniu pewnej planowo zorganizowanej całości. Wyjaśnijmy to na jeszcze jednym przykładzie.

Wyobraźmy sobie, że posiadam w swej bibljotece trochę pierwszych wydań Mickiewicza. Utrata jednej z tych książek będzie stratą indywidualną i nie naruszy całości, gdyż tej niema. Natomiast, jeśli jakaś bibljoteka, publiczna, traktując rzecz naukowo, zbierać będzie wszystko, co dotyczy Mickiewicza, to w niej swoją rolę dobrze spełni także jakaś skromna broszurka, świadcząca o znajomości dzieł naszego poety wśród, dajmy na to — Chińczyków. Uczony, studjujący w tej bibljotece, przy pomocy takiej broszurki ustali, jaki był zasięg poezji naszego wieszcza i bez poznania podobnej książeczki, być może, obraz granic tego zasięgu byłby niezupełny.

Podobnie ma się rzecz i z drugorzędnemi dziełami w zbiorze dr. Popławskiego. Obojętne dla publiczności i artystów, mogą stać się nader pożytecznym materjałem dla uzupełnienia rekonstrukcji ruchu artystycznego na pewnym odcinku dziejów. Inna sprawa, ile się powinno zapłacić, kupując zbiór z takim procentem malowideł wtórnej wartości. Ale rozważanie, czy tranzakcja wypadła korzystnie i czy muzeum nie przepłaciło, w tym wypadku, mnie nie obchodzi. Dodam tylko iż nie uważam za słuszne i potrzebne pokazywanie publiczności wszystkiego; taka porcja niejednemu ze zwiedzających poplącze się w głowie, jak groch z kapustą, mimo objaśnień przewodników, a raczej może właśnie dzięki zbyt obfitym, z tej racji, objaśnieniom. Należało pokazać publiczności tylko dzieła najlepsze, ze szkicem Rubensa, „Chrystusem i Samarytanką" Crespiego, portretem Sofonisby Anguiscioli, „Św. Hieronimem" Ribery, „autoportretem" Rigauda, Isenbrantem, Mostartem, Bolem, Bassanem i Sustermansem na czele.

Katalog wystawy, znakomicie opracowany przez dr. Jana Żarnowskiego, należy do najlepszych katalogów Muzeum Narodowego.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

ADWOKAT I RÓŻE

CÓŻ MILSZEGO, jak spędzić wieczór z Jerzym Szaniawskim? Choćby nawet był to teatr Mały, nieakustyczny, skrzypiący krzesłami, choćby aktorzy zbyt cicho mówili. Historja, nosząca tytuł „Adwokat i róże", daje się, coprawda, opowiedzieć tylko głosem ściszonym, bo cały dramat—to cichy skowyt tęsknoty do takiego stanu, w którymby dusza osiągnęła po ludzku, w dosycie świadomości bytu, ideał piękna. Człowiek zdolny do takich tęsknot, wpatrując się w różę, doznaje mistycznego uczucia, że chwyta przyrodę na gorącym uczynku świadomości piękna. Róża bywa piękna nietylko rysunkiem, barwą i wonią — tchnie od niej ekstaza. Róża czasem wygląda na wtajemniczoną w jakiś nieosiągalny dla człowieka świat piękna, robi wrażenie, że jest wprawiona w trans zachwycenia, że coś widzi, do czegoś dąży, że osiąga.

Ekstatyk piękna, poeta pragnąłby posiąść jej duszę i współdziałać z nią, wypatrzeć jej wizję.

Takim marzycielem okazał się adwokat Szaniawskiego, człowiek z drugiego krańca świata, bo zapędzony zawodowo w otchłanie duszy ludzkiej, nie znającej tęsknot, otchłanie ziejące występkiem. Adwokat dał się porwać czarom róży i zerwawszy z zawodem swoim, poświęcił się hodowli róż.

Pragnął wyhodować idealnie piękny typ róży, rzekłbyś podbijał w różach ambicję piękna—która też zaprowadzi go najdalej w tę dziedzinę marzoną, gdzie panuje doskonałość, a więc spokój wieczny osiągniętego ideału.

Taką drogę życia obrał sobie do świata absolutnej prawdy. Poszedł tędy przez reakcję od tego zawodu, gdzie wszystko jest relatywne, a gdzie on kiedyś święcił triumfy, uznany za genjusza adwokackiego wykrętu.

Pozostał wszakże człowiekiem, a tęsknoty ludzkie realizują się nie przez samą ekstazę, lecz przez miłość. Adwokat kochał żonę, młodą i piękną. Jego róża wyrastała z gleby tej miłości. Tu był jego byt ziemski, tu ogród jego życia. Różą właściwą była żona, tamto wszystko marzeniem idealistycznem.

Miłość ściągnęła go na ziemię. Daremnie odżegnywał się od swego zawodu, od świata zbrodni. Istnieją bowiem złodzieje róż. Zakradli się tacy do ogródka adwokata. Z nad-

miernego wydatkowania się na ekatazy piękna zbankrutowała miłość.

Wiekuisty, nie dający się rozwiązać dramat nieosiągalności zupełnego ideału. Przed adwokatem stanęła prawda: niema takiej gwiazdy, na której mogłaby spocząć dusza w dosycie spokoju i doskonałości.

„Adwokat i róże" — to poemat w sposób sceniczny wypowiedziany. Forma dramatu użyta z niepospolitym kunsztem. Dramat nawet nienazwany, niewypowiedziany, podany jedynie do wyczucia, niemniej wstrząsający widzami.

Mądry adwokat wszystko zrozumiał. Czy dlatego też przebaczył? Tylko w komedyjkach ludzie sobie przebaczają. Tutaj rzecz ginie w głębokościach miłości i smutku. Adwokat zrozumiał, że ulega potężnym prawom życia, od których niema wykrętu.

Grano sztukę bardzo starannie. Z. W.

MUZYKA

FILHARMONJA. — A więc Beethoven. Tydzień temu ósma i dziewiąta symfonja, ostatnio trzecia a zapowiedziana pierwsza. Dziewiątą prowadził Abendroth. Dobrze, że nie (jak ubiegłego roku) Horenstein, który na szczęście wyniósł się gdzieś od nas. Abendroth należy niewątpliwie do wielkich mistrzów batuty. W piątek, 24-go „mała" *f-dur* wypadła niemal doskonale. Wrodzone artyście poczucie rytmu uwydatniło walory utrworu — menuet np. posiadał wszelkie cechy swojego stylu; intencjom twórcy stało się bezsprzecznie zadość.

Pod kierunkiem opanowanej i jakże precyzyjnej ręki dyrygenta wielkie dzieło, symfonja *d-moll* ukazała się w całej pełni swej niezwykłej wartości. W momencie, gdy poczyna rozbrzmiewać kantata, zda się, iż skala beethovenowskiego zamierzenia musiała przekroczyć zakreślone przez zwyczaje muzyczne ramy. Głos chóru jest tu czemś rzeczywiście nieoczekiwanem (czuł to sam Beethoven), niemniej jednak i czemś jakby nieodparcie koniecznem.

„Eroikę" prowadził Eugen Jochum młody dyrektor i główny kapelnistrz opery w Hamburgu. W tem miejscu pozwolę sobie powiedzieć parę ciepłych słów pod adresem zarządu Filharmonji z powodu zorganizowania paru koncertów o zdecydowanie aryjskim charakterze — mieliśmy, dzięki temu, możność przebywania w atmosferze o naszym lub pokrewnym nam gatunku kultury. Żadnych błazenad wirtuozyjno-estradowych. Żadnego kokietowania publiczności płytkiemi efektami akrobatyki. Powaga i skupienie. Jednem słowem: sztuka.

Jochum, podobnie jak i Abendroth, posiada wybitne poczucie rytmu, co najlepiej mogliśmy zauważyć w symfonji *(Mit dem Paukenschleg)* Haydna. Część pierwsza usprawiedliwia już zachwyt, który znalazł swój wyraz w znanym angielskim epitecie. Jeśli muzyka Haydna należy do najbardziej charakterystycznych dla swojej epoki, to może również i dla takich fragmentów, jak przejście w *Andante* z zupełnego *pianissimo* do nagłego, nieoczekiwanego *fortissimo*. Typowy przejaw rokokowego kaprysu.

W trzeciej symfonji, mimo nierównie trudniejszego zadania, udowodnił Jochum trafność opinji, jaką przywiózł o sobie tu, do Warszawy. Wnikliwość interpretacji ocenić możemy przez zestawienie części drugiej, słynnego marsza żałobnego, z częścią trzecią *scherzo*, a jeszcze bardziej z czwartą. Nie wiem, dlaczego uchodzi ona za część mniej piękną od poprzednich. Czy czasem nie jesteśmy zbytnio zasuggerowani programowością dzieła? Pamiętać przecież musimy, iż programowość, jeśli idzie o jakość, innego tu jest rodzaju, aniżeli u takiego Berlioza. Wydaje mi się, że nie zawsze odróżniamy odmienności, jakie się kryją w pojęciach opatrzonych jednakim terminem.

Koncert fortepianowy Bolesława Woytowicza, wykonany po raz pierwszy w lutym 1933-go roku, potwierdził sąd jaki wyniosłem słuchając jego drobniejszych utworów fortepianowych. W sposobie komponowania widać reminiscencje sztuki odtwórczej. Z dużą, prawdziwą kultura napisany utwór najmniej może posiada owej „bezpośredniości inwencji", na którą zwraca słuchaczowi uwagę informacja programu. Prawda, że instrumentacja ciekawa, harmonje o fragmentach zasługujących na szczery poklask i dające chwile prawdziwego zadowolenia, ale właśnie... chwile. Nie znaczy to wcale, ażeby po momencie dobrym następował moment słaby, ale jest inny, nie związany z poprzednim, nieraz wręcz przypadkowy. Bogactwo tematów możnaby tu zidentyfikować z ich nadmiarem, na czem bezsprzecznie cierpi konstrukcja całości. Zaryzykuję twierdzenie, że kilka tematów więcej albo kilka mniej nie wpłynęłoby wcale na budowę koncertu.

Z tem wszystkiem posiada on wiele cech cennych, z których na plan pierwszy zdecydowanie wysuwa się, jak już zaznaczyłem, wysoka kultura muzyczna twórcy, jego prawdziwe znawstwo techniki kompozytorskiej, oraz poczucie barwy orkiestry.

W. NARUSZ

FILM

CAPITOL: „Bohaterowie Sybiru" reż. M. Waszyński.

„Rzadko na moich wargach — niech dziś to warga ma wyzna — jawi się, krwią przepojony, najświętszy wyraz: Ojczyzna"...

Te słowa Kasprowicza nieraz mi się przypominały, gdy oglądałem w kinie „Bohaterów Sybiru" bo w tym filmie jego autorzy, nieraz aż do obrzydliwości, wycierają sobie gębę ojczyzną. Gdy mówi o niej wielki poeta, wiemy jakie po temu ma prawa, ale stosowanie patosu pseudopatrjotycznego tylko dlatego, żeby jeszcze jedną złotówkę wyciągnąć z kieszeni kinowego widza, jest bardzo, ale to bardzo niesmaczne. Mniej już nawet drażnią nas rozmaite, „państwowotwórcze" powiedzonka, w rodzaju „silna armja jest gwarancją rozwoju kultury i sztuki, a w tem przecież leży sens państwa" (Skąd się tak nagle naszym filmowym żydkom na kulturę zebrało?).

A przecież można było zrobić z tego tematu film skromny i bezpretensjonalny, lecz miły, jak na to wskazują niektóre jego fragmenty, obrazujące szary dzień garstki Polaków na dalekiej północy, jego radości i smutki i wymowę takich zdarzeń, jak śmierć w drodze powrotnej do kraju, wymowność pozostawioną słusznie samej sobie, bez natrętnego wskazywania jej palcem.

W roli dowódcy oddziału polskiej partyzantki, przedzierającej się przez syberyjskie równiny w marszu do Polski, wystąpił Brodzisz, aktor, o którym warto wreszcie parę słów prawdy powiedzieć. Przed dziesięciu laty Brodzisz podobał się piętnastu ponsjonarkom i odtąd błąka się jak duch pokutujący po wszystkich naszych filmach. Aktor o tępym wyrazie twarzy, zarosłej tłuszczem, który nie nauczył się niczego przez tyle lat i nie potrafi wykrzesać z siebie ani krzty prawdy i życia, który z lenistwa nie uprawia sportów, nie umie pływać ani jeździć konno, jest parodją porucznika i wogóle żołnierza. Najwyższy już czas Brodzisza z obiegu wycofać.

Fotografja niezła, reżyserja najsłabsza w zbiorowych scenach walk, a najlepsza w staraniach o przeważnie ruchliwe tło wizualne dla djalogów.

NOWE KSIĄŻKI

Nałkowska Zofja. Renata Słuczańska. Sztuka w 3 akt. Warsz., 1936. Gebethner i Wolff.

Foerster Fryd. W. Wychowanie obywatelskie. Wyd. II. Przełożył J. Mirski. Warsz. Książn. Atlas. 320.

Melcer Wanda. Czarny ląd Warszawa. Warsz., 1936. Dom. Ks. Pol. Str. 178.

Kuncewiczowa Marja. Cudzoziemka. Powieść. Warsz. 1936. Rój.

Borowy Wacław. Wczoraj i dziś. (Szkice literackie). Warsz., 1934. Rój.

Troczyński Konstanty. Elementy form literackich. Poznań 1936. J. Jachowski. Str. 72.

Ś. P. JULJAN TALKO-HRYNCEWICZ

W KRAKOWIE zmarł znakomity antropolog światowej sławy, prof. Uniw. Jagiellońskiego, dr. Juljan Talko-Hryncewicz. Pozostawił po sobie wielki i cenny dorobek naukowy w postaci 150 ogłoszonych prac, szereg uczniów, dziś wybitnych uczonych oraz warsztat pracy wspaniale się rozwijający.

Urodzony w 1850 r., od młodości interesował się antropologją. Będąc na Syberji, gdzie pracował jako lekarz, badał tam ludy Giljaków, Oroczonów i Czuwasów. Po powrocie do kraju objął katedrę antropologji na Uniw. Jagiellońskim po Izydorze Kopernickim i stworzył tam Zakład Antropologiczny.

Zainteresowania Talki-Hryncewicza szły w wielu kierunkach. Dość przejrzeć wydawnictwa krakowskiej Akademji Umiejętności, aby stwierdzić ile prac naukowych pozostawił zmarły profesor. Żmudzini, Małopolanie, Kaszubi, Krakowiacy, olbrzymy i karły, badania w Mongolji i Azji Środkowej, karaimowie i wreszcie Górale polscy — oto kilka zaledwie problemów opracowanych przez Talko-Hryncewicza. W badaniach swych nie ustawał mimo sędziwego wieku. Jedna z ostatnich prac zmarłego uczonego, wydana przed dwoma laty w Krakowie: „Materjały do antropologji górali polskich", przyniosła nauce również wiele nowych wiadomości. Skromność cechującą Hryncewicza charakteryzuje tytuł rozprawy, która w rzeczywistości wielokrotnie przewyższa „materjały", bo jest syntezą. Razem z ówczesnym swym asystentem, dr. Eug. Frankowskim, zbadał Hryncewicz 1305 osób; udało się stwierdzić, że górale polscy przedstawiają odrębny typ.

Prof. Franciszek Bujak, pisząc w t. IV „Nauki polskiej" o możliwościach pracy naukowej na prowincji, podał taką o ś. p. Talce-Hryncewiczu wiadomość.

Niezwykle ciekawe są losy Juljana Talki-Hryncewicza, obecnego profesora antropologji w Uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończywszy w r. 1876 medycynę w Uniwersytecie Kijowskim, wyjechał dla uzupełnienia wiedzy lekarskiej zagranicę. Mając szersze zainteresowanie naukowe, skorzystał ze sposobności, aby zaznajomić się z antropologją pod kierunkiem znakomitego twórcy tej nauki prof. Broca w Paryżu. W r. 1877 zamiast w Kijowie, gdzie miał wszelkie widoki zdobyć praktykę i dobrobyt, osiadł jako lekarz w Zwinogródce, głuchej mieścinie, położonej w stepach na granicy gubernji chersońskiej, do której dopiero w r. 1892 doprowadzono kolej żelazną. Pracę naukową w kierunku antropologji rozpoczął dopiero w r. 1885, kiedy pod wpływem korespondencji z prof. Kopernickim z Krakowa, sprawił sobie narzędzia i rozpoczął pomiary antropologiczne na osobach, które przychodziły do niego po poradę lekarską, przyczem antropologję łączył z etnografją i archeologją. Przedtem już pisywał do czasopism lekarskich liczne streszczenia i recenzje oraz podawał swoje spostrzeżenia z zakresu medycyny, oprócz tego pisywał do tygodników („Kraj") i do dzienników („Gazeta Warszawska") artykuły historyczne i korespondencje polityczne, był też gorliwym współpracownikiem Słownika Geograficznego.

W r. 1884 wziął udział w poszukiwaniach archeologicznych w okolicy Zwinogródki i potem kilkakrotnie do badań tego rodzaju powracał, zbierał napisy na cmentarzach ukraińskich, które ofiarował do zużytkowania naukowego dr. Rollemu, lekarzowi w Kamieńcu Podolskim, pracowitemu badaczowi historycznemu, znanemu dobrze pod pseudonimem dr. Antoni J., który przez całe życie umiał łączyć pracę zawodową z pracą naukową w odległej dziedzinie historycznej. Talko-Hryncewicz w ciągu pobytu przez 14 lat w Zwinogródce nie zaniedbywał także pracy społecznej na miejscu (był radnym miejskim), a zwłaszcza wśród społeczeństwa polskiego, zabiegając gorliwie około odbudowy kościoła w Zwinogródce.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie tylko cały majątek, którego się ciężką pracą dorobił, stracił w r. 1891, ale nadto wpadł w długi. Zgnębiony musiał opuścić Ukrainę w 41 roku życia, aby przyjąć stanowisko lekarza powiatowego w Troickosawsku we wschodniej Syberji na samej granicy Mongolji, dokąd od Uralu musiał jechać kibitką pocztową, bo kolei syberyjskiej jeszcze nie było. Oddaliwszy się o tysiące kilometrów od ojczyzny i kultury, nie przepadł tam jednak dla nauki i dla Polski. Wywiózł bowiem z sobą swoją znaczną bibljotekę i liczne materjały naukowe, zebrane na Rusi i Litwie, które kolejno opracowywał i przesyłał Akademji Umiejętności w Krakowie do ogłoszenia. „Zbiór wiadomości do antropologji krajowej", poczynając od tomu X (1886), zamieszcza liczne jego prace. W r. 1893 Akademja wydała jego cenną pracę etnograficzną „Zarysy lecznictwa ludowego na Rusi południowej". Następnie zajął się badaniem okolicznej ludności burjackiej, której stał się życzliwym opiekunem i doradcą, robił wycieczki w stepy mongolskie, prowadził badania archeologiczne, zbierał materjały antropologiczne, założył wespół z kilkoma Rosjanami Towarzystwo Naukowe i muzeum lokalne w Troickosawsku, utrzymywał stosunki z uczonymi i towarzystwami naukowemi rosyjskiemi w Petersburgu, Moskwie i t. p., podjął wreszcie opracowanie materjałów antropologicznych, których dostarczyły badania archeologiczne w całej Rosji Europejskiej.

Pracami swemi zjednał sobie rzetelne uznanie, którego wyrazem było powołanie go na członka korespondenta Akademji Umiejętności (1903) oraz na katedrę antropologji w Uniwersytecie Jagiellońskim. Tak tedy wierna służba w nauce, którą Juljan Talko-Hryncewicz pełnił w stepach ukraińskich, w Zwinogródce, oddalonej o 200 klm. od kolei, oraz w Troickosawsku, na krańcach pustyni Gobi, została nagrodzona.

W Krakowie rozwija on w dalszym ciągu swoją naukową, prawdziwie benedyktyńską działalność, prócz tego tworzy bogate Muzeum antropologiczne przy swej katedrze, a wespół z Sewerynem Udzielą i kilku innymi profesorami Uniwersytetu — Muzeum etnograficzne na Wawelu.

NA MARGINESIE

— „Pułkowników" uważają już za bezrobotnych...

— Roboty to oni nigdy nie mieli, więcej się martwią tem, że są bezrolni.

— Jakto bezrolni? Chyba każdy z nich ma jakąś posiadłość.

— Posiadłości mają, ale są bezrolni, bo nie odgrywają żadnej roli.

*

Święto międzynarodowe 1 maja weszło do kalendarza żydowskiego jako dzień uroczysty socjalistycznej konstytucji szabes-gojowej.

„Front ludowy" ma podobno domagać się dekretu, znoszącego polskie święto 3 maja, jako że prowokuje uczucia ludzkości!

*

Zwrócono nam uwagę na pismo konserwatystów „Nasza Przyszłość". W nr. XLVI (z r. 1935) na str. 15 pisze się o stosunkach uniwersyteckich lwowskich przed wojną w ten sposób:

> „Awantury studenckie we Lwowie. Endecka młodzież wpada do auli uniwersyteckiej, demoluje inwentarz, kraje nożami portrety rektorów,— krwawe bójki endecko-ruskie"... i t. d.

Jest to ciekawy przyczynek do charakterystyki doby sanacyjnej. Co zmusza „polityków" do tak ordynarnego kłamania? Młodzież ukraińska, rozzuchwalona polityką starego Bobrzyńskiego, znieważyła polski Uniwersytet Jana Kazimierza — nożami krajali portrety rektorów. Odpierała ten atak młodzież polska. Teraz pismo, redagowane przez młodego Bobrzyńskiego poucza nowe pokolenie, niezawsze świadome dziejów, że było odwrotnie: Polacy rznęli portrety rektorów polskich, demolowali aulę...

Jakież to marne i głupie!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.